



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 4 kwietnia 1954 r.

Nr 14 (210) Rok V

MARIA DĄBROWSKA

TRZECIA JESIEŃ

Wczesny październikowy ranek. Pustą o tej porze ulicą Poznańską idzie Klemens Lohojński, wysoki, szczupły człowiek lat około sześćdziesięciu. Odziany jest w bure zmoszone palto, na głowie ma równie znoszoną i wytartą skórzaną czapkę z mausznikami. Chuda twarz o niebieskich zamyślonych oczach i z dwiema fałdami ciągnącymi się od prostego nosa do kącików ust ma rdzawy kolor palonej gliny, jakiego nabierają z wiekiem oblicza ludzi jasnowłosych. Jest źle ogolona, odkryta szpakowata szczecina. Idąc tak, Lohojński zauważył w pewnej od siebie odległości kogoś leżącego na ziemi. Zamim zbliżył się do tej leżącej postaci, ujrzał jeszcze, jak mijali ją nieleśni przechodnie, mężczyźni i kobiety. Mijając spoglądał przelotnie i spieszyli dalej do swoich pilnych zapewne spraw. Zrównawszy się z leżącym, Lohojński schylił się nad nim, a nawet przykleknął.

— Pijany? — zastanowił się głośno. — Wcześnię! — potrząsnął energicznie głową jakby zgorzany i zdumiony.

Ale czy że to na powietrzu, czy że Lohojński nos na stare lata zawodził, nie zaleciało jakoś opareni: alkoholu. Jednak i na zmarłego ani umierającego leżący nie wyglądał. Był to mężczyzna raczej niestary, spoczywał na prawym boku, nogi miał lekko podgięte, głowę wspartą na pięści, a twarz rumianą, pociętą, trochę blazęnską. Lohojnskiemu wydało się, że i skądś mu znana, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widywał tego człowieka. Nie wyglądał poważnie, ale w każdym razie leżał tu oto nieprzytomny. Fotrząsnął mocno za ramię, nie dał żadnego znaku życia, tylko głowa zesunęła się z pięści i jakoś nieprzyjemnie stuknęła o płytę chodnika.

Klemens Lohojński wyprostował się, rozejrzał i jego zamyślenie o czy padły na pobliski gmach. Pogotowia Ratunkowego. Nie zwlekając i przyspieszając kroku skierował się do tego gmachu. Za chwilę rozmawiał z dyżurną w białym klinicznym fartuchu.

— ... Na Poznańskiej — mówił. — Koło domu numer czterysty.

— Tak. Rodzaj wypadku? Przejechanie? Atak sercowy? Ranny?

— Nie przejechanie. Leży człowiek. Nie wiem, co mu jest. Leży.

— Przyjęte.

— Jaktó: przyjęte! I co? Tam trzeba zaraz...

— Powiedziała: przyjęte. Wszystkie karetki są na mieście. Jak tylko...

— Nie potrzeba żadnej karetki! — zirytował się zgłaszający. — To będzie od was nawet i nie sto kroków. Jakże tak można?

— Co się stało? — zapytał przechodzący mimo młody lekarz z wiszącym na biele fartucha stetoskopem. — Niech pan się nie denerwuje — dodał wysłuchawszy relacji. Pokręcił się tu i ówdzie, wszedł w jakieś drzwi, coś zlecił.

— Już z panem ide.

Wyszli więc razem. Lekarz tylko w fartuchu, z gołą głową, nie narzucając nawet płaszczka. Za nimi podążał ktoś ze składanymi noszami.

W jakąś godzinę potem Klemens Lohojński wracał do siebie na Polną. Ulica była z jednej strony zabudowana wysokimi kamienicami, z drugiej przylegała do pola zajętego pod ogródkami działkowymi. Lohojnski patrzył teraz nie przed siebie tylko w prawo, na działki. Ta siełankowa przestrzeń rumieniła się i żółtała w porannym słońcu liśćmi drzew owocowych, owiana wielkim niebem Warszawy i obramiona majaczącymi w oddali za opalową jesienią mgiełką nowymi gmachami zdawała się nieodparcie wabić jego zamyślenie spojrzeń. Ociągał się z wejściem do kamienicy, w

której mieszkał, stanął przed nią i dalej patrzył na działki.

— Dzień dobry, panie Klemensie — znajomy głos obudził go z zadumy.

To wyszła z bramy Wanda Osiecka, średniego wieku, dobrej tuszy i przyjemnej twarzy kobieta o szarych śmiejących się oczach. „Ta z radia” nazywano ją w kamienicy. Klemens Lohojński uchylił swe go czapczyśka, spod którego wyrzała czupryna konopnej barwy, nieznacznie się srebrząca i strzyżona jak u młokosa na wysokiego „jeża”.

— U-uszanowanie! — huknął jakos nadmiernie głośno.

— A pan tak rano już za tą działką tęskni? — zgadła Osiecka. — To teraz czas na podania. Składał pan? I co? Znowu odmówili?

— I siu-uszenie. Ja to rozumiem. Peode!

— Co za peode?

— Pracownicze Ogródki Działkowe. A ja cóż... Niezorganizowany proletariatus. Człowiek bez przydziału. Można kawalek odprowadzić?

I nie czekając odpowiedzi zaczął Osieckiej towarzyszyć ku zbiegowi ulicy z placem zakończonym okazałą budowlą Politechniki.

— A cóż ten ktoś, co chciał panu swoją działkę odstąpić?

— A ou-wszem! — rozwlekając słowa Lohojński wymiawiał „o” jak „ou”. — Właśnie do niego chodzę. Powiedzieli — wcześniej rano przed wyjściem do pracy. Wyszędem o świcie, no i spóźniłem się. Coś mnie zatrzymało po drodze. Accident! — krzyknął raptem po francusku fatalną wymową i z akcentem na pierwszą sylabę.

— Co? Czyżby pan wstąpił na jednego głębszego? — zażartowała Osiecka. — Ale o tej porze? — myślała już najwyraźniej o czym innym.

— Mo-o-że... Mo-o-że... — Lohojnski uśmiechnął się, a uśmiech ładny miał i zabawny, choć zeszpecony brakami w uzbębieniu. Zamyślenie

oczy błyskały mu wtedy po łobuzersku, stulał przy tym ramiona i przekrzywiał głowę, niby chłopiec trochę strwożony, a trochę kontent z dowcipu czy żarty.

Na rogu stanęli, by się pożegnać.

— Ja nie namawiam. Broń Boże!

— Zastrzegł się Lohojnski energicznie. — Ale... pani ma pełne prawo do działki. I gdyby pani tylko złożyła podanie...

— To później. Pomyślimy — ucięła krótko Wanda.

— A-ha! — huknął Klemens Lohojnski. — Ou-czywiście! Ja tylko tak...

W bramie domu zaczęli go dozorca, Bazyli Styś, starszy człowiek z przekrwionymi białkami lazurowych oczu, z siwym wąsem i majestatycznym wzięciem.

— Panie Lohojnski, nie znajdzie się u pana czasem kawałek drutu? O, takiego, o?

— Ou-wszem. Znajdzie się. Chodź pan.

Ze stróżówki wyrzała Styśowa, duża kobieta o płaskiej twarzy, zawsze jakby wyczekująca zniecierpliwionej.

— Panie! — krzyknęła. — Niech pan się wróci. Jest coś dla pana z milicji.

— A-ha! — odwrócił się zwracając Lohojnski.

Styśowa podała mu złożony druczek.

— No? — ponagliła wyczekującą. — Pewno znów o metrykę. Zrobiłby pan raz jakiś porządek z temi swoimi papierami. Niech pan przeczyta! Co pan taki nieciekawo? — zniecierpliwiała się rozczarowana.

Lohojnski machnął ręką. Dozorca milczał, dyplomatycznie towarzysząc mu ku drzwiom zamkniętym na olbrzymich rozmiarów kłódce.

Klemens Lohojnski mieszkał w niskim parterowym budynku zamykającym boczny wyłot podwórza i kiedyś stanowiącym część zabudowań gospodarskich podmiejskiego dworku z ogrodem, na którego mie-

scu wyrosła obecna kamienica. Teraz mieszcili się tu: garaż wynajmowany przez taksówkarzy, zakamarki o różnych przeznaczeniach użytkowane przez małżeństwo Styśów i dwa mieszkania. W jednym, o dwu izbach, mieszkał poczcicz Zachwatek, w drugim — była to izba z lilipucim przedśionkiem — żył Klemens Lohojnski. Dokoła powstawała świetna dzielnica nowoczesnych bloków mieszkaniowych; parterowy budynek — szpetna rudera — z natury rzeczy skazany był na zagładę, ale do czasu rudera owa trwała. Między murami kamienicznego frontu i bocznej oficyny stał nad nią słup szafirowego w tej chwili nieba i stały drzewa sąsiedniej posesji mającej snadź jeszcze ogródek. Z drzew zesypały się na polatany zrzucającymi kawałkami papy i blachy dach rudery żółte liście, częściowo zakrywając jego szpetotę.

Lohojnski porał się przez chwilę z kłódką swych drzwi, a potem wszedł ze Styśiem. Izba była głęboka, ciemnawa, o jednym oknie, którego brudne szyby dawno straciły przejrzystość. Zapalili wiszącą u sufitu na sznurze z bloczkiem silną żarówkę i zaczęli szukać w stosach rupieci, którymi zabarżone były ciemne kąty, wierzchy szafy i szeroka półka pod przeciwną do drzwi wejściowych ścianą. Oprócz półek i szafki znajdowały się jeszcze w izbie: stolik, tapczan, ławeczka, stółek, „wiedeński” krzesło i żelazny piecyk na nogach, zwany „kozka”. Połowę stołu zajmował stos książek i czasopism.

Nad tapczanem wisiał bardzo stary zniszczony kilimek. Na stołku mieściła się blaszana miska, pod stołkiem dzbanek. Można było jeszcze zauważyć na gwoździu szarawy ręcznik, na ławeczce trochę naczyn kuchennych, koło niej — kubel i dwie pięciokilowe blaszanki po marmoladzie. Odwiedziwszy kiedyś Lohojnskiego, Wanda Osiecka zapytała:

— Po co pan tu gromadzi taką masę rupieci? I tak pan maruje mieszka i jeszcze zamienił pan to w taką norę zagraconą. Okno by pan sobie umył, poustawiał, poukładał wszystko ładnie... wyrzucił to całe śmiecie.

— Skleroza — odpowiadał Klemens Lohojnski. — Starzy jegomości lubią tak wszystko zbierać. — I przytoczył po polsku znane rosiwskie przysłowie: — W dobrym gospodarstwie przyda się każdy rupień.

— Przyda się, ale nie panu. Przecież pan to wszystko rozda. Chyba, że tak pan właśnie rozumie swoje dobre gospodarstwo — zaśmiała się nie bez aprobaty Osiecka.

Prawdę mówiąc sama korzystała niekiedy z rupieciarni Lohojnskiego. W kamienicy w ogóle było wiadomo, że gdy komuś było pilnie potrzebna haka, śrubki, kawałka blachy, sznura, kartonowego pudełka czy papieru do zapakowania przesyłki, mówiło się:

— Trzeba skoczyć do Lohojnskiego. Na pewno ma.

On zaś wykrzykiwał: „Służę!” — i zawsze jak magik wyciągał żądany przedmiot.

Znalazł się więc i drut na gwóźdź potrzebny dozorczy. W zamian umówił się, że po południu zajrzą razem na działki.

2

Lohojnski od dawna i często chodził na działki z dozorcą Styśiem albo stolarzem Strojnym, gdyż obaj byli działkowcami więc mieli klucz od furki. Teraz owoc z drzewek i warzywa były już na ogół zebrane. Ale ten i ów miał jeszcze chryzantemy lub inne jesienne kwiaty, kapustę nie wszyscy wycięli, działki liczyły się jeszcze jako czynne i zamykano teren przed nieproszonymi amatorami cudzych pól.

(Dalszy ciąg na str. 4)

LEON SCHILLER

Odszedł od nas Leon Schiller. Ojciec to strata dla teatru polskiego, dla kultury polskiej. Nie znała bowiem historia naszej sceny postaci tak w talenta bogatej. Ten Wielki Człowiek Teatru łączył wyjątkowość malarską z głęboką wiedzą muzyczną i znajomością praw sceny z nieporównanym zjawstwem literatury polskiej i światowej. Był przecież nie erudyty i historykiem ale żywym twórcą, który przez dziesiątki lat załadniał scenę polską obrazami wielkiej poezji, umiając jak tylko jeden przed nim — Stanisław Wyspiański — łączyć i godzić ze sobą barwę, słowo i dźwięk.

Śmierć jego jest stratą niepowetowaną. Odszedł od nas teraz właśnie, gdy brak go najbardziej. Odszedł dziś, gdy lud polski, którego sprawom służył ofiarnie wypełnia wszystkie widowiska teatrów, czekając na dzieła godne czasów, które przeżywamy. Dziś gdy wchodzimy w okres słuszniejszej oceny znaczenia i zadań sztuki, zabrakło nam właśnie tego twórcy, który potrafił zawsze łączyć walkę o władzę ludu z troską o kulturę polską.

Zabierając głos w imieniu Związku Literatów Polskich jakże nie wspomnieć, że Leon Schiller był wielkim, niezastąpionym inscenizatorem naszych arcydzieł narodowych, że w pracy swojej, nigdy nie zdradził poezji dla wymagań koniunktury.

Oddając w imieniu pisarzy polskich hołd pośmiertny Leonowi Schillerowi łączy z żalobą powszechną i mój osobisty żal głęboki po stracie przyjaciela, wielkiego artysty, pełnego wdzięku, szlachetnego, dobrego człowieka.

Antoni Słonimski

*

Odczytaliśmy wszyscy, że odszedł ktoś wielki. Dzieło Leona Schillera „Ocali od zapomnienia” historia; naukowcy, artyści, historycy, krytycy określają, wyceniają i wymierzają olbrzymi wkład pracy i zasług Schillera w kształtowanie się dzieł sceny polskiej.

W notatkach kreślonych w kilka godzin po zgonie, w notatkach cha-

otycznych i osobistych, gdzie wspomnienie miesza się z żalem — pragnę ocalić od zapomnienia jedynie niektóre okruczości z tego wielkiego życia, utrwalić — nim rzeźbiarz zdejmie maskę pośmiertną ze zgas-

łej już twarzy — jej jeszcze żywe ludzkie rysy. Zdaje sobie sprawę, że zadanie to wykonam tylko częściowo i nieporadnie. Być może, że jakiś rys, słowo, uśmiech, przekazane w notatce, przydadzą się tym,

którzy o Leonie Schillerze dowiadywać się będą już tylko z podręczników.

Za szybko odszedł. Miał jeszcze tyle do powiedzenia. O stratę tę będziemy się potkwać jeszcze długo.



Fot. Franciszek Myszowski

Mocniej to czują ci, którzy mieli szczęście przebywać z Nim, pracować, rozmawiać.

Rozmowy z Schillerem... To są niezapomniane godziny, całe noce przegadane, raczej przesłuchane, bo rozmowa przemieniała się w wielki monolog Schillera, i wcale nie dlatego, że nie dopuszczał rozmówcy do głosu, nie, najczęściej dlatego, że rozmówca sam milkł, wołać — słuchać. Olbrzymia, przysłówiowa, sławna erudycja pana Leona błyskała wtedy wielką i żywą barwą. I nie w elokwencji tkwiła siła tej rozmowy lecz w ładunku, jaki niosła. Z głową nieco pochyloną, z twarzą stężoną od pracy myśli, opuszczone ciężkie powieki przydawały jeszcze bezruchu całej postaci — mówił Schiller i jak z biblioteki czerpał z siebie, mówił o literaturze, scenografii, muzyce, teatrze, raz po raz wspomniała i olśniewająca klamra łącząc zjawiska zdawałoby się odległe — cytował zgasłych mistrzów, penetrował umarłe epoki, błyskał żartem, wracał do tematu i mówił tak jak ludzie pracują: ciężko; erudycja Schillera nigdy nie była pustym popisem pamięci, zawsze przebiegała przez doświadczenia potrzebnych na dziś, do pracy, w której nie ustawał; stworzył epokę w teatrze i nie spoczął na laurach, pracował do ostatniej godziny swego życia.

Rozmowy, o których wspominam, plany, myśli, które rozwijał głośno, były dla słuchacza fascynującą lekcją, szkołą wrażliwości i odpowiedzialności artystycznej, nawet wtedy, gdy słuchacz sprzeciwiał się gwałtownie niektórym tezom czy wnioskowi Schillera. Wiem z własnych doświadczeń i od innych, którzy zetknęli się na dłużej z Schillerem, że po takich rozmowach myśli w człowieku chodzą zjawy, zmywały się w mózgu szablony, zmęczenie ustępowało, chciało się jeszcze raz popatrzyć na swoją własną pracę i poprawić ją w miejscach, gdzie drażniła jąłkością — tak ten Mistrz, nawet gdy nie zarażał rozmówcy swoją ideą, zarażał swoją pasją, gorączką, nowatorstwem. Bo zapominając nie należy, że Schiller będąc najlepszym u nas znawcą przeszłości teatru, był jednocześnie największym nowatorem, nowatorem w permanencji, jeśli można się tak wyrazić. Do końca

swego życia sam siebie sprawdzał, sam siebie poprawiał i nie znam żadnego Jego dzieła, przy którego zakończeniu postawił kropkę. Inni stawiali kropki. I często za wcześnie.

Teatr monumentalny jest kategorią historyczną. Wiadomo, że w swoim czasie Schiller, uciekając od płaskości i naturalizmu, podniósł teatr, powiększył skalę, bo tylko na wyższym piętrze teatru mógł pokazać wielki repertuar romantyczny.

„Teatr monumentalny”? — zapytywał w wiele lat potem, zapytywał swoim zwyczajem siebie, opuszczał powieki, nieruchomiał, by myślał lepiej pracować — „za dużo w nim elementów idealistycznych” — odpowiadał zadumany sobie, a słuchacz nachylał się, by lepiej łowić słowa — „przeprowadzam dziś w stosunku do teatru monumentalnego samokrytykę”.

Samokrytyka Schillera to nie było stuknięcie się w piersi, to była samokrytyka w sensie leninowskim: szukanie lepszego teatru, o jeszcze mocniejszych środkach artystycznych i w służbie określonej idei — socjalizmu.

Pamiętam szalę gratulacji, jakie posypały się po przedstawieniu „Krakowiaków i górali”. Widowisko było na pewno porywające. Zrobiło furorę i w Czechosłowacji. „Wielkie artystyczne osiągnięcie!” — prawił Schillerowi krytycy. A Majster tylko się uśmiechał, niby skromnie, gratulacje przyjmował, bo były zasłużone. Ale gdy już krytycy, wysapawszy swoje komplementy, poszli, Schiller mówił w zadumie: „Wielkie? — nie, potrzebne”. I to jest rys charakterystyczny dla Jego życia i pracy: służba społeczną, zyczenie, co w danym momencie należy zrobić. To był wielki artysta o wybitnym instynkcie społecznym.

Schiller uczył nie tylko przez bezpośrednie wskazówki, należało przebywać dłużej w kręgu Jego pracy, rozmyślać, rozminować — wtedy dopiero we właściwy sposób pobierało się naukę o teatrze. I jeśli kiedykolwiek w życiu uda mi się napisać coś lepszego niż to, co dotychczas napisałem, nigdy nie przestanę uważać, iż będzie to

(Dokończenie na str. 2)

W sobotę — w Belwederze

Poprzedniego wieczoru rozmawiałem z młodym pisarzem. „W literaturze — powiedział — jak w gospodarstwie. Dużo pracy, dużo ważnych i drobnych strapień, a z planami rozmaitości. Jesteśmy na dorobku. Gdybym się spotkał z towarzyszami z kierownictwa Partii, to bym wyznał, że odczuwamy wszyscy potrzebę częstszych z nimi wspólnych dyskusji, rozmów, w których byśmy mogli zwierzyć im nasze kłopoty i problemy. I to nie tylko z okazji niepowodzeń i błędów, jakie zdarza się nam popełniać. I nie tylko w ramach oficjalnych konferencji. Gdyby tak połączyć z nimi sprawy pisarskie w trybie jak najszerszym, bezpośrednim...”

Zaszczytna gościna, jakiej około stu literatów i dziennikarzy zabrała w sobotę 27 marca, spełnia życzenia mego kolegi.

Stało się tak, jak pragnął. Zaproszono nas nie na „zasadniczą” naradę i nie na żaden „obrachunek”. Zaproszono nas na rozmowę, którą serdecznie i prosto zagaił towarzyszy Bierut. Przemieszał się w Belwederkiej salce konferencyjnej ludzie pióra z ludźmi sprawującymi władzę. I choć dobrze wiemy, że prosta i niedaleka jest dziś droga od obywatela Polski Ludowej do Belwederu, skłamałobyśmy, przemilczając głębokie i niezwykłe wzruszenie, jakieśmy przeżyli wszyscy podczas sobotnich odwiedzin. Bo ile się musiało wcześniej dokonać, by w jednym przyjaznym kręgu spotkał się młody pisarz-batalista z marszałkiem Rokossowskim, a młody dziennikarz — z przywódcami całego narodu. I abyśmy wszyscy — widząc w naszym gronie dojrzałego wiekiem i doświadczeniem kolegę Lucjana Rudnickiego — mogli sobie dobitnie i przejmująco uprzytomnić treść przeciwwstawienia: stare i nowe.

Towarzysz Bierut mówił czego oczekuje od pisarzy i dziennikarzy po II Zjeździe Partii. Mówił, jak bardzo ważna jest sprawa docierania naszych słów do całego narodu, sprawa powszechności, odpowiedzialności i godności naszej literatury.

Po Jego zagajeniu przemawiało kilku naszych kolegów. Z pisarzy — Igor Newerly, Bohdan Czeszko, Lucjan Rudnicki, Tadeusz Breza. Spośród kolegów dziennikarzy — Stanisław Cieślak, Wincenty Kraso i Zygmunt Przetakiewicz — ten ostatni w imieniu publicystów katolickich. Mówili szczerze, po prostu. Mówili o wrażeniach ze Zjazdu i o zadaniach, jakie widzą przed sobą; o potrzebie związania literatury z doświadczeniami życiowej praktyki; o trudnej i pasjonującej funkcji kształtowania języka naszego narodu (Breza).

Wielu z nas, nie zabierających głosu, myślało w tym czasie, że do powiedzenia i przedyskutowania mielibyśmy spraw na długie godziny. Ze ich dziś jeszcze nie wyrazimy bez reszty. Nie tylko dlatego, że godzin braknie. Również — na skutek niezwykłości wzruszeń i rozproszenia myśli. Lecz czuliśmy przy tym, że sprawy pisarstwa są bliskie dla naszych Gospodarzy, że serdeczność atmosfery jest wyrazem głębokich i istotnych związków, jakie nas wzajemnie łączą.

Potem był koncert. Grała Eugenia Umińska i Zbigniew Szymonowicz. Stuchając w ich świetnym wykonaniu Rachmaninowa i Chopina, Debussiego i Mozarta trudno było nie myśleć, czym jest i czym być powinna prawdziwa sztuka. I że to, co wielkie w przeszłości, i nas zobowiązuje.

Kiedy później zasiadliśmy w trzech salach przy stołach — każdemu przypadała w udziale inna część obserwacji i rozmów. Siedziałem w trzeciej salce, gdzie — obok — grupa młodych pisarzy otaczała marszałka Rokossowskiego. Z roziskrzonymi oczyma słuchali o powieści Marszałka o Jego bojach pod Moskwą, o odparciu hitlerowskiej ofensywy, o telefonie, jaki wtedy odebrał od towarzysza Stalina...

Wojciech Zukrowski opowiadał o walkach w Wielkiej Brytanii, tłumacząc potrzebę zwiększenia transportów lekarstw i środków komunikacji dla bohaterów, wietnamskich bojowników. — W pewnej chwili z pierwszej sali dobiegły naszych uszu oklaski. Po wzniesieniu toastów przez kolegów Iwaszkiewicza i Kierczyńskiego za pomyślny rozwój literatury służącej całemu narodowi, wbrew tym, którzy rozbijają jego jedność, zabrał głos towarzyszy Bierut. Mówił, jak wielkie znaczenie ma głos pisarza w codziennej gazecie, jak bardzo potrzebne jest współdziałanie literatów z codzienną towarzyszką najszerszych mas — prasą. Przeciwnie, nie się do pierwszej sali, żeby słyszeć Jego słowa i zobaczyć, że siedzi koło niego Marian Brandys, autor drukowanego w ostatnim numerze „Nowej Kultury” artykułu o współpracy pisarza z prasą codzienną. Dowiedziałem się, że towarzyszy Bierut czytał ów artykuł. Poczułem prostą redakcyjną solidarność sprawiło, że przeżyłem niemal osobistą dumę.

Ogarnął mnie nagły żal, że nie mogę jednocześnie uczestniczyć we wszystkich rozmowach, i że każde sprawozdanie z tego pięknego wieczoru będzie jednak uboższe od pełnej, bogatej treści naszych wrażeń z niecodziennego spotkania.

Ryszard Matuszewski

spełnienie niektórych nauk pierwszych reżyserów moich sztuk, Osterwy i Schillera.

Dziś, kiedy Schiller odszedł, a potrzeby teatru rosną, jak nigdy jeszcze, należy zebrać wszystkie Jego notatki, niewydane rękopisy, reżyserkie egzemplarze, nawet — marzenia. Bo to się przyda.

Chcę wspomnieć jeszcze o drobnym zdarzeniu. Było to w 39 roku, w zimie, w pierwszej beznadziejnej ziemie okupacji hitlerowskiej. W kawiarni „Sztuka” zorganizowanej przez aktorów, mieszcząc się w podziemiach drapacza na Świętokrzyskiej, w późniejszych latach zrujnowanego przez wojnę, obecnie odbudowanego jako hotel „Warszawa” — otóż w kawiarni tej zebrała się gromada uchodźców i wysiedlonych ze wszystkich stron Polski. Gorzka pamięć niedawnej klęski i świadomość niewoli sprawiły, że w „Sztuce” nie było nastroju zwykłej kawiarni. Ludzie siedzieli osowiali, wściekli, przybici, niepewni. Z ulicy słychać było ciężkie kroki hitlerowskich patroli. Ktoś z obecnych poprosił Schillera, aby siadł do fortepianu. Znano Go, wiedzieli, co potrafił do fortepianu wyczarować. Ze wszystkich kątów sali rozległy się głosy, proszono, by zaśpiewał jedną ze swych piosenek, najlepiej z uroczego przedstawienia schillerowskiego „Królowa przedmieścia”. Ludzie chcieli zapomnieć

o rzeczywistości. Znana jest powszechnie ta piosenka: „Piękny jest Wisły brzeg...” Melodia ta zawędrowała potem do Pierwszej Dywizji im. Kościuszki, przy zmienionych słowach — nazwa Wisły spłodziła się tam z nazwą Oki — stała się ulubioną piosenką żołnierzy, którzy z dalekiej i gościnnej ziemi radzieckiej bagnetem szli wyswobadzać ojczyznę.

W zimie 39 roku w Warszawie, już skatowanej, już po Wawrze, ludzie chcieli piosenki, chcieli zapomnienia.

Schiller siadł do fortepianu. W ciszy, jaka zapadła, uderzył w klawisze. I usłyszeliśmy wtedy: „Piękny... był Wisły brzeg...” W ówczesnej sytuacji i atmosferze zmiana słowa „jest” na „był” uderzyła jak ostrze. I dalsze słowa piosenki śpiewał w czasie przeszłym. Proszono Go, by przywrócił tekst dawny. Na próżno. Wielki artysta dał ludziom piosenkę, lecz nie pozwolił zapomnieć o rzeczywistości.

I przez cały czas okupacji, jeśli kiedykolwiek siadł do fortepianu, uparcie trzymał się tego bolesnego tekstu.

Dopiero po latach, po 45 roku, gdy po Oświęcimiu i po dalekich drogach tułaczki wrócił do kraju, fortepian Jego znów uderzył jasno: „Piękny jest Wisły brzeg...”

Brzeg Wisły staje się dziś coraz piękniejszy. Szkoda, że już nigdy nie usłyszymy fortepianu Schillera.

Kazimierz Korcelli

*

Nielatwo w obliczu śmierci, nad otwartą jeszcze trumną znaleźć właściwe słowa. Był człowiekiem największego formatu i w miarę upływającego czasu coraz lepiej będziemy ogarniali Jego wielkość i coraz dokładniej będziemy rozumieli, kim stał się w polskiej kulturze Leon Schiller. Dzisiaj oszłoniem nieszczęściem umiemy jedynie dać wyraz gorzkiemu przeświadczeniu, że strata, której doznaliśmy, jest stratą w prawdziwym i bolesnym znaczeniu tego słowa — niepowetowana.

Odszedł namieśny szermierz sprawiedliwości społecznej i genialny artysta. Inscenizator, muzyk, pisarz. Reżyser i twórca reżyserów. Człowiek, który był u źródła wszystkich niemal przemian, jakie dokonały się w polskim teatrze w czasie czterech dekad lat.

Polska utraciła w Nim największego od czasów Wojciecha Bogusławskiego artystę i działacza sceny. Teatr — nieporównany mistrz. Teatr — protektora i animatora o niewyczerpanej inicjatywie.

My, uczniowie Schillera, żegnamy w Nim bardzo naszym sercem drogiego Mistrza i Nauczyciela. Jego istnienie nadawało sens istotny pracy naszej, którą On osądził surowo, a zarazem pełną wyrozumiałości miarą swojego sądu.

Nie ma Go od dzisiaj pomiędzy nami. I zastąpić Go niepodobna. Co do tego nie mamy złudzeń. Zdajemy sobie z tego sprawę lepiej może niż ktokolwiek inny.

A jednak zbrojni w schillerowską wiarę w posłannictwo naszej sztuki, w „teatr, który był, jest i będzie”, podejmujemy dzisiaj w Jego imieniu ten — „trud, co Go zabijał”.

W Jego imieniu, to znaczy w imię Piękna, Prawdy, Sprawiedliwości.

Erwin Axer

*

Jesteśmy ubożsi o cały świat, którego nie dane Mu już było nam pokazać. Dokonał przecież rzeczy najtrudniejszej i najważniejszej: unaoczniał nam ludową treść narodowej kultury w ośniewającym blasku prawdziwego artysty. Był to blask rzetelny, blask nie tylko ogromnego talentu, lecz także wielkiej wiedzy, najszerzego doświadczenia i zapamiętałej pracy. Leon Schiller zostawił najwyższą dotąd miarę wszystkim naszym ambicjom i pracom w polskim teatrze.

Najgłębszą Jego troską była sprawa skuteczności społecznej teatru. Skuteczność tę rozumiał w sposób słuszny i coraz bardziej jednoznaczny jeszcze w tych czasach, gdy zwycięstwo klasy robotniczej było daleką nadzieją. To On powiedział: „Teatr jest teatrem wtedy, o ile jest zwierciadłem życia i swej epoki, jest teatrem, jeżeli orientuje się w złożonej psychice swej widowni, jeżeli nurtujące w niej tendencje etyczne na jaw wydobyć potrafi,

jeżeli jest jej sumień sędzią i praw jej bojownikiem”.

Dlatego właśnie tak bliski i ważny dla Schillera był centralny problem naszej twórczości artystycznej: problem ludowego nowatorstwa, bez którego sztuka nie jest w stanie ogarnąć nowych, niebywanych zjawisk rozwijającego się nieustannie życia, ani nie może sięgać po rząd dusz — ludzi pracujących nareszcie dla siebie, wyzwolonych dla radości i tworzenia, rosnących duchowo z każdym nowym dniem.

Dlatego właśnie nienawidził pozerskiego nowinkarstwa. I dlatego też tyle uwagi poświęcał nowemu spojrzeniu na tradycję romantyczne naszego teatru, na dzieła światowej klasyki teatralnej; wiedział, że artysta winien masy porwać, jeśli chce je przekonać, jeśli chce być uczestnikiem walki, nie zaś mistrzem ceremonii.

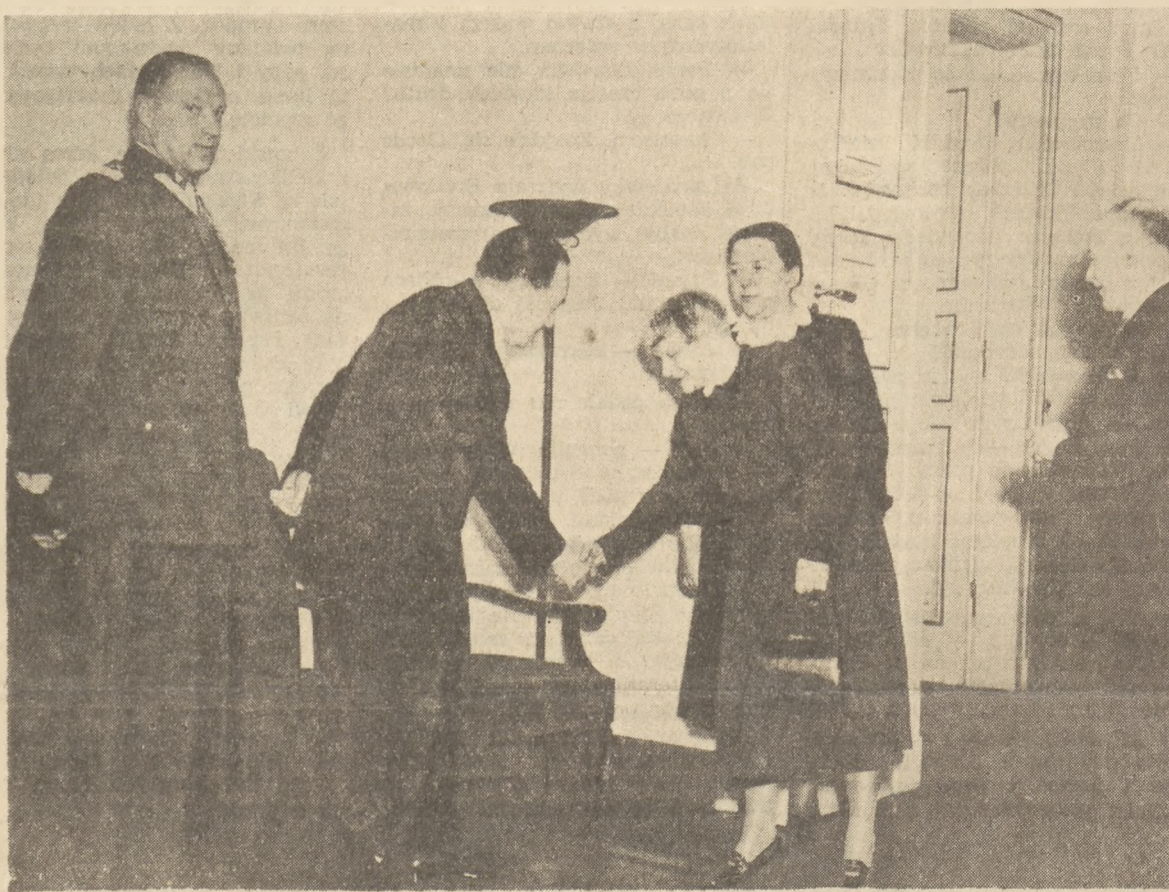
Dlatego był fanatykiem prawdy; szukał jej w teatrze żmudnie, ale uporczywie a — co najważniejsze — odważnie i szczerze. Nawet niepowodzenia Schillera na tej drodze nosiły cechy wielkości. Zawsze bowiem wiedział dobrze, że lud żąda od artystów prawdy o życiu, nie zaś grzecznych pozorów prawdopodobieństwa.

Ten szlachetny człowiek, namieśny patriota i ogromny artysta był uczestnikiem ruchu robotniczego, członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, komunistą. Z głębokiego przekonania, z porwy serca, z doświadczenia całego życia.

Przykład, jaki dał największy człowiek naszego teatru, jest szczególnie znamienity: artysta prawdziwie wielki służy sprawie ludu, nieuchronnie staje się jego współbojownikiem. Dziel takich twórców lud nie zapomina ani czas się nie imi,

Jerzy Pomianowski

SPOTKANIE W BELWEDERZE



Bolesław Bierut wita Marię Dąbrowską i Annę Kowalską

UDZIAŁ LITERATURY W PRASIE

W czasie spotkania z literatami i publicystami — które odbyło się przed kilku dniami w Belwederze — Bolesław Bierut wezwał literatów do udziału w pracy nad ożywieniem i urozmaicheniem naszej prasy codziennej. Apel ze strony najwyższego kierownictwa Partii zmusza nas do sumiennego rozważania środków i sposobów, prowadzących do najpełniejszej realizacji postawionego przed nami zadania.

Wydaje mi się, że istnieją trzy zasadnicze sposoby wprowadzenia literatury do prasy codziennej.

Pierwszy z tych sposobów nie wymaga osobistego udziału literatów i polega na regularnym wykorzystaniu przez prasę codzienną gotowego materiału literackiego. Gazety — a przede wszystkim gazety prowincjonalne — powinny jak najczęściej zamieszczać fragmenty najlepszych naszych książek z krótkimi notkami informacyjnymi o autorze i książce. Lęk redakcji przed przedrukami jest zupełnie nieuzasadniony. Nie należy przeceniać erudycji szerokiego kół czytelnicy i sprawności dystrybucyjnej „Domu Książki”. Między wydaniem książki a rzeczywistym jej rozpowszechnieniem w terenie upływa wiele miesięcy. W tym czasie redakcje mogą swobodnie korzystać z materiału książkowego dla ożywienia i urozmaichenia swych gazet. Publikacja fragmentów literackich spełnia zadanie zasadnicze, a ponadto przyczyni się do upowszechnienia czytelnictwa, gdyż mało wyrobiony czytelnik z zasady ma nieufny stosunek do nowych książek, o których nie wie.

Drugi sposób pomocy literackiej dla prasy codziennej wiąże się nie rozróżnianie z ważnym problemem naszej ogólnej sytuacji literackiej: z niepokojącym zanikiem małych form literackich jak krótkie opowiadanie, krótka nowela, obrazek i szkic literacki. Już przed dwoma laty sygnalizowałem w jednym z czasopism niebezpieczeństwo łamania w naszej literaturze równowagi form pisarskich na rzecz wielkiej formy, a więc: powieści w prozie i poematu w poezji. Tak długo wma-

wiano nam, że pisarz powinien pisać tylko powieści, tak długo krzywiono się w wydawnictwach na propozycje napisania tomu nowel czy opowiadań, tak długo byliśmy pozbawieni czasopisma, w którym można by publikować krótkie utwory literackie (nie mamy go zresztą do dzisiaj) — iż na koniec uwierzyliśmy, że prawdziwej rangi literackiej doświadczyć się można tylko powieścią lub poematem. I jakim tego skutkiem? Dziś na cztery dobre powieści, trzy ukazują się jako pierwsze tomy. Najkrótsze opowiadania pisuje się na 30 do 40 stron. Najmłodszy kandydat na poetów zawałają redakcje olbrzymimi poematami. Jest to objaw niedobry. Jest to dowód oderwania się twórców od potrzeb czytelnicy. Bo czas, w którym życie zmienia się z dnia na dzień, domaga się od literatury chwytania go na gorąco. Bo, obok wielkiej epopei, najbardziej dziś pożądaną formą literacką jest krótkie, czterolub pięciostrońcowe opowiadanie, obrazek, reportaż literacki, czy humoreska. Mistrzami naszego pisarstwa nie mogą być tylko wielcy epicy. Musimy uczyć się także od Czechowa i Prusa-nawelisty. Obecnie — gdy powstaje społeczna konieczność zacieśnienia stosunków między literaturą a prasą — czas już najwyższy, aby część naszej inicjatywy twórczej skierować w stronę małych form. Bo dostarczenie gazet codziennej krótkich utworów literackich będzie najlepszą przysługą, na jaką stał literatów. Ale uprawianie małej formy literackiej, w postaci aktualnych i celnych krótkich opowiadań, wymaga częstszego i bardziej bezpośredniego kontaktu z życiem kraju niż pisanie powieści. Dlatego z drugim sposobem literackiej pomocy dla prasy codziennej wiąże się bezpośrednio sondaż trzeci i ostatni: bezpośrednia współpraca literata z gazetą.

Współpracę tę, moim zdaniem, należy oprzeć na dwóch zasadach. Po pierwsze powinna to być współpraca uporządkowana i regularna — nie zaś przypadkowa, od „akcji” do „akcji”. Najlepiej będzie jeżeli literat, pragnący współpracować z prasą, wyznaczy sobie w każdym mie-

siacu od jednego do czterech „dni prasowych”, przeznaczonych na wyjazdy w teren dla określonej redakcji. Po drugie: praca literata w gazecie — jeżeli ma dać rzeczywiste wyniki — nie powinna „dublować” pracy dziennikarza tej gazety. W interesie redakcji powinno leżeć, aby wkład literata w gazetę był jak najbardziej literacki. Dlatego redakcja winna podsuwać literatowi tylko takie materiały, które rzeczywście mogą go pobudzić do napisania utworu literackiego. Jak to rozumiem, wyjaśniałem już w artykule „Refleksja pojądzdowa” („Nowa Kultura” nr 13 z dn. 28 marca br.). I redakcja musi być przygotowana na to, że literat może wyjechać raz i drugi, a nic z tych wyjazdów nie przywieść. A później wyjedzie po raz trzeci i napisze. Wynika to nie z faktu, że literat jest istotą ukształtowaną inaczej i subtelniej niż dziennikarz — ale z odmiennego rodzaju pracy i inspiracji. Dlatego te tzw. przez redaktorów „kaprysy literackie” trzeba w interesie gazety uwzględnić.

Wydaje mi się, że na razie tylko tyle można powiedzieć na temat współpracy literatury z prasą codzienną. Praktyka wykaże słuszność czy niesłuszność propozycji zawartych w niniejszym artykule i z pewnością wyłoni nowe propozycje.

Na marginesie poruszonego tematu chciałbym dodać jeszcze jedną uwagę. Wydaje mi się, że do ożywienia i urozmaichenia naszej prasy codziennej przyczyniłoby się pewne poszerzenie zakresu jej informacji. Niedawno opowiadał mi jeden z kolegów dziennikarza, że w jego redakcji odrzucono nader interesującą notatkę o znalezieniu w Andach zmumifikowanej w bryle wiecznego lodu kobiety sprzed trzystu lat. Zdarzenie to wywołało duże poruszenie w kołach naukowych całego świata. Ale wspomniana redakcja uznała, że jej gazeta „może się obyć bez tej wiadomości”. Sądzę, że takie stanowisko nie jest słuszne. Bo z gazetą jest tak, jak z plackiem i z rodzynkami. Placek także może się obyć bez rodzynków, ale z rodzynkami jest smaczniejszy,

Marian Brandys

JERZY ZAGÓRSKI

STRUŻYNY Z NOWEJ HUTY

Raz, kiedyśmy z wyprawy do Huty wracali, Mieliśmy jak sztabacy pękate kieszenie: W nich cudowne strużyny z kolorowej stali. Na półce rozłożyłem swój łup jak wspomnienie.

Te wióry pozbierane spod bystrej tokarni, Zostały odlupane nożem Kolesowa, Wyłowione z odpadków jak grzyby spod darni, Lśniły w ręku jak w muszli macia perłowa.

Najwięcej chmurnie szarych jak północne morza, Kiedy padnie ukosem skąpy błysk przedświt. Ich zwoje jak ślimacznice stożkowa obroża Mienia się odcieniami nocnego błękitu.

Przy nich grube łupiny jasno-żółto-żółte O nierównym połysku, przypadkowym kształcie, Bryłko, chyba jubiler jakiś w ręku miał cie, Co złotnikom-fantastom powierza robotę!

Tu lilowo-brązowe jak niepełna tęcza, Której łuk wielokrotnie ślad zostawił w oku, Jak śmigło co w powietrze zakosem się wkręca, Jak na filmie wahadło biegnącego kroku.

Cieniutkie białe wióry, wy matowe srebra, Błękity zielonkawe, karminów złocienie! Niejeden malarz o te kolory by żebrał, Zazdrościlił niejedne by w lasach jesienie.

Najbardziej uwodzający miała dla mnie kolor — Jak popiół z lila cieniem w migocie platyny, Strużyna tak szeroka jak twój liść, topolo, Cienka jak brzytwa, w kształcie dokładnej sprężyny.

Z tamtymi na mej półce miejsca nie podziela, Wykrój ma niezawodny, barwę doskonałą. Dałem ją na pamiątkę dziecku przyjacielu, Gdy o szlachetne stał w Hucie zapytało.

W PERSPEKTYWIE KOSMICZNEJ

To nie Syriusz czerwony się pali, To nie gwiazda największa z gwiazd. Nad konstrukcją niewidoczną ze stali Nocny sygnał wznoszonych miast.

Tam gdzie za dnia niebo zdobia dźwięgry Jak żurawi nad portem las, Skąd okręty nowych domów w bezmiary Wyruszają i w nowy czas.

Teraz jeden po drugim reflektor Błyska. Zaraz sto będziesz miał. Gwiazdą ten się wydaje korektor Konstelacji niebieskich ciął.

Coraz więcej rozbłyska ich na tłach. Niebios, łącząc z gwiazdami głos. Nie odlego o setki lat światła, Mają bliższy wpływ na nasz los.

Nie doczeka się nikt bym zaprzeczył Że istnieje współzależność w kosmosie, Że stłumiony okrzyk człowieczy Idzie w przestwór jak woda po rosie.

Ze z mgławicy za Andromedą Do nas refleks zmacony dopadł: Sprzed miliona lat światło biegło Aż odbiło się w teleskopach.

Ale ucz nas wszechświata budowo, Gdy błądzimy w twoich rozblyskach, Że na wielkość wpływa gwiazdowa Oprócz siły odległość zjawiska.

I dlatego, gdy się wyrusza Na odczystych spraw rozważanie Większą jasność ma od Syriusza Blask latarni nad rusztowaniem.

DWA MIESIĄCE W CHINACH

18.XI. 1953 r. — Pekin

Rano wstajemy nieco później zaniepokojeni chłodem i złośliwą pogodą. Dmie wiatr, w okna zagląda słońce, całkowicie wytłuszczone z ciepła. Powietrze jest żółte jak obłok lessu. I zimne. Diabelnie zimne.

Zwołujemy zebranie dla podsumowania naszego pobytu w Chinach. Ocena w zasadzie wypada pozytywnie, chociaż przez pierwsze dwa tygodnie pracowaliśmy bez planu. Naukowcy nasi zebrali sporo danych, notatek, książek i pozawierali ciekawe kontakty. Prof. Lekczyńska, Jabłoński, Siekierska i Szymański odbyli szereg narad, dyskusji i wykładów. Żukrowski zapisał brulion i odkrył w człowieku — człowieka. Kobzdej zmęczył się malowaniem i odpoczywał w cieniu swoich obrazów. Muzycy mają za sobą trzynaście koncertów i szereg nagrań w radio. Przekazaliśmy Chinom Ludowym sporo wiadomości o Polsce i wiele zrozumieliśmy ze spraw do tad zupełnie nam nieznanych. Pozytywnym zjawiskiem w naszym kolektywnym były częste zebrania dyskusyjne, wymiana doświadczeń, korekta zbyt pośpiesznych sądów i zwycięstwo humoru nad sztafą i nudą. Pozwoliło to zachować właściwe kryteria oceny, polityczną rację i żywotność spojrzenia na sprawy, ludzi i rzeczy, oglądane przez pryzmat życzliwego uśmiechu. Potrafilimy również wytworzyć atmosferę przyjaźni z towarzyszami i artystami chińskimi. Brakiem naszym było natomiast słabe przygotowanie w zakresie historycznych wiadomości o Chinach i walkach narodowo-wyzwolenczych oraz zbyt różnicowane zainteresowania członków delegacji, co stwarzało wiele trudności zwłaszcza dla towarzyszy chińskich, którym należy się podziw za ich cierpliwość, takt, umiar, mądrość i sprawność organizacyjną.

Wybrałem się na pożegnalną wizytę o charakterze pół - prywatnym do ministra Szen-Jan-Ping. Do obiadu zasiada tylko pięć osób: minister, pierwszy jego zastępca, przewodniczący Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, Lo-I-Su i ja. Nastrój początkowo rzeczowy, zwłaszcza w stosunku do nieskończonej ilości najbardziej wyszukanych pod słońcem dań, szybko przechodzi w interesującą dyskusję. Dzielimy się wrażeniami, co przychodzi nam tym łatwiej, że minister był rok temu w Polsce. Szen-Jan-Ping przeprowadza szereg korekt w stosunku do naszych spostrzeżeń. Zwraca nam uwagę, że wbrew naszemu poglądom nie ma przejścia z klasycznej opery pekińskiej do opery współczesnej, istnieje natomiast takie przejście w oparciu o terenową operę i operę ludową. Wskazuje przy tym na ubóstwo melodyczne klasycznej muzyki chińskiej, która w ciągu ostatnich dwustu lat nie wzbogaciła się, a wyjątkowo w martwym kanonie klasycznego akademizmu. Odrodzenie chińskiej muzyki winno w tych warunkach nastąpić na fali odrodzenia muzyki ludowej i jednoczesnego korzystania z ogromnego bogactwa tradycji europejskiej, w stosunku do której nikt w Ludowych Chinach nie czuje żadnej niechęci. To samo dotyczy malarstwa, chociaż w tej dziedzinie Chiny posiadają ogromną, własną, postępową i realistyczną tradycję. W stosunku jednak do malarstwa olejnego konieczny jest etap przegryzania się przez dorobek realizmu europejskiego, zanim artyści chińscy potrafia twórczo przewartościować europejską tradycję w nowym obrazie sztuki chińskiej epoki socjalizmu.

Minister Szen-Jan-Ping broni również malarstwa o charakterze obrazków noworocznych, jako typowego dla ludowej wyobraźni i znakomicie dziś służącego celom socjalistycznego budownictwa. Minister nie widzi wejścia tego malarstwa w ogólny nurt, raczej należy pozwoić przez czas dłuższy na swoisty rozwój sztuki ludowej i ludowej wyobraźni operującej specjalnym kanonem i własną, bardzo wyspecjalizowaną formą.

Szen-Jan-Ping wskazuje również na to, że nawet w literaturze chińskiej, obok wielkich poezji literackich uosobionych chociażby w twórczości Lu-Suna i Kuo-Mo-żo, istnieje własny nurt opowiadaczy ludowych, bardzo dziś popularny i rozwijany jako odrębna gałąź twórców ludowych. Ich łatwa, przystępna, barwna i zajmująca opowieść o czasach walki i zwycięstwa, obciążona na znajomość piśmnia tysiącami znaków, jest dziś potężnym narzędziem oddziaływania i wychowywania społeczeństwa chińskiego.

— Proszę — mówi minister Szen-Jan-Ping — prostota, nie prostactwo, to pierwszy szczebel do wielkości. Jasność myśli nie potrzebuje wielu słów i omówień, a skuteczność i prawda — tym bardziej.

19.XI. 1953 r. — Chiński Mur i Grobowce Mingów.

Szybko pozostawiamy za sobą płaski kusz podpekińskich wiosek. Szosa ostro skręca i wirażem pnie się na wzgórze. Góry, które niechętnie uchylają się przed nami,

są nagie, skaliste, zle i nieprzystępne. Droga wiję się zakosami, oplata przepaście, stanowi białą wstęgę w martwej przyrodzie, w której nawet trawa wymarza i przestała się żółcić pod skałami. Mijamy małe, brązowe, kudłate stada krów, zadumane osły, które stają w poprzek drogi i dziwią się natarciwemu buczeniu auta; smutne wielbłądy kiwając głowami nad dolą i niedolą ludzkiego życia, które bezkarnie pogania je od tysięcy lat.

Niżej, pod drogą, biegnie tor kolejowy wspinający się łozyskiem wyschniętej rzeki, przepływającej na wiosnę wszystkie podkłady i mosty przerzucone ponad suchymi wąwozami.

Spełzamy z góry, warcząc i sapiąc, żeby niespodziewanie natknąć się na łańcuch murów najstarszych, datujących się jeszcze z epoki Han. Mur jest zjedzony przez deszcze, wiatry i nawałnice. Wykuszony, o poszczerbionych zębach, niepotrzebny już nikomu, nawet górcom, które z łomotem zwałają obok niego olbrzymie głazy. Kilka strażnic opuszczonych, ciemnych i przypartych do skał. Nie o wiele jest lepszy stan murów epoki Tan. Na przestrzeni dwóch tysięcy lat, czterysta lat to okres historyczny, trudny w czasie do rozróżnienia. Wichrami zamiotło lata i przestrzeń skurczyła się, zmalała, wydarła się z życia, z zieleni, lasów i traw.

Znowu pniemy się ostrym grzbiecem, uchylamy się przed groźbą przepaści, skaczemy przez pochyły od starości most, ostrym wirażem wjeżdżamy na przełęcz i dopiero wówczas u wylotu pustyni Gobi i Mongolii dostrzegamy białą, kryształicznie czystą wstęgę muru cesarzy Ming.

Mur ciągnie się na przestrzeni 3600 km, posiadając osiem metrów wysokości i pięć metrów szerokości. Słońce świeci nad nim prostopadło i określa przestrzeń wachlarzem swoich promieni. Cienie padające ze skał są czarne jak noc, chłodne jak ostre noże. Szczyty biegnące wraz z murem są burozsze, chwilami przechodząc w kolor starej, zakurzonej cegły. Na tle tym mur wydaje się biały, alabastrowo biały, omyty w cemente, słońcu i deszczu ze śniegiem. Granica Chin i Mongolii. Życia i pustyni Gobi. Granica abstrakcyjnego myślenia i sensu człowieczej decyzji.

Pozostawiamy auta koło nowoczesnej strażnicy i lekko, zwinnie, prawie biegiem wchodzimy na grzbiet muru. Jakże lekko się odrycha — ostro, prawie boleśnie. Mróz łapie nozdrza i słońce zagląda prosto w oczy. Chłodne i ogromne, prawie jak całe niebo.

Trzy sepy zerwały się ze skały i krążąc powlokły za sobą cień słońca. Jakies zwierzę przebiegło dolinę omytą mrokiem, zawało się przed głazem i jednym słowem znikło w przepaści.

Cisza w łęgowskich skalnych gór i cisza nad martwym płaskim dnem stepu Mongolii, który rozchylił się przed nami jak dłoń nagle rozwarła i blada z wysiłku.

Idziemy po grzbiecie muru. Wspinały się coraz wyżej. Chwilami wznieście jest tak gwałtowne, że pełniemy na czworakach. Dażymy do najwyższego szczytu, na którym wznosi się obronna strażnica.

Wiatr przycichł i w mroźnym powietrzu słońce staje się gorące. Opalamy twarze. Mówimy nienaturalnie głośno plosząc stada dzikich kur, które zgrabnym szeregiem przeskoczyły przez grzbiet muru. Cienie w dolinach wydłużają się i rzucają niebieską mgłą na szczyty jaśniejące w szronie i w słońcu.

Jest diablo pięknie. Piekłelnie pięknie. Ostro i wyraźnie, jak pod szkłem powiększającym. Każdy kamień w dolinie można odszukać wzrokiem i wytuskać z rumowisk skalnych. Chce się w usta nabrać powietrza i przemyć nim płuca. Słowa padają między nami okrągłe jak głazy i z hukiem toczą się w płaską, burą dal pustyni Gobi.

— Ileż ludzi umarło tutaj, w cmentarzysku tych skał, zanim mur zagroził drogę północy?

Kto to powiedział? I-Ja-Ping przechyliła się nad balustradą i patrzy daleko, badawczo w ciszę Mongolii. Stamtąd szły tabuny jeźdźców. Mur ich nie zatrzymał. Zatrzymał ich dopiero lud. Zatrzymał i wchłonił. Od Chin centralnych szły masy niewolników. Mur stał się dla nich bezmiennym Mauzoleum. Symbolem ogromu ludzkich możliwości i bezsensu krwawego wysiłku.

Kto to powiedział? Słowa są kanciaste jak skały, które spiętrzyły się u wylotu doliny i z jękiem padają w czarną otchłań przepaści. I-Ja-Ping stoi pochylona nad doliną i szuka jakiejś proporcji, jakiej miary między własnym życiem a życiem tych lat tysięcy, które zostały w historii. Lat, mierzonych kilometrami chińskiego muru.

Wracamy. • Prawie biegniemy. Słońce przechyliło niebezpiecznie białą tarczę w stronę pustyni Gobi i cisza buszuje w stepach Mongolii. Obiad jemy na stojąco w gościnnej strażnicy. Smakuję wyjątkowo. Gryziemy herbatą z termosów. Długo cię nagle padł zza muru na drogę i powiało śmiertelnym chłodem. Czas wracać.

Podróż z gór do grobowców Mingów, położonych w bok od głównego traktu o dalszych czterdziestu kilometrach, okazała się prawdziwą udręką. Wiraże, kamienie wyboje, niecierpliwość aut, którym nawalają hamulce, głazy, przepaście, coraz dokuczliwsze obce mrozu przenikające każde odzienie, a zwłaszcza obuwie — zmęczyły nas do tego stopnia, że wypad na drogę, wzdłuż której ustawily się ogromne, tradycyjne posągi zwierząt, przywitaliśmy jak zbawienie.

Kiedy wysiedliśmy z aut słońce kładło się już na horyzont ogromną, czerwoną tarczą, wytłuskana boleśnie z całego otoczenia przyrody. Wysokie szczyty odległych gór zapalały purpurowe lampiony, zastygając w granatowym mroku dolin, jak nieruchome piramidy w pełnym cieniu pustyni. Siwa od mrozu zieleni ciów i cedrów chińskich osunęła się aż do samej drogi, jakby w ich gęszczu mogły znaleźć schronienie zastygłe pomniki słoń i wielbłądów. Skamieniałe ich nogi wrosły w ziemię w oczekiwaniu na ostatniego z Mingów. Który nienawidził swą do ludu posunął tak daleko, że zginął z woli narodu i nigdzie pochowany nie został.

Mamy więc spotkać się w tym lodowcowym pustkowiu tylko z trzynastoma Mingami, którzy trwają od trzystu już lat w ciszy północnej zimy, w odległości wielu kilometrów od najbliższego osiedla.

W ociemniałym parku, u podnóża szerokich schodów zatrzymujemy auta. Ziemia zapada się w mrok. Wysoka świątynia, gdzie składano zwłoki, tchnie mrozem, obcością. Jest pusta, śmiertelnie pusta, jak wydrżony tysiącletni

się na auta i zadzierają głowy do góry. W poprzek drogi przystanął osioł z chlupskimi zaprzęgami i uparcie nie chce zejść z drogi. Wylazimy z aut i usiłujemy pomóc wielbłąkowi namówić osła do zrobienia nam miejsca. Osioł jednak wyciąga szyję i odmawia. Odmawia przeżycie rycząc, wołając wszystkich Mingów na pomoc. Żołnierze śmieją się, żartują.

Przyjeżdżamy do Pekinu około dziesiątej wieczór. Ponieważ w mo-

20. XI. 1953 r. — Pekin.

Ostatni dzień w Chinach. Słonecznie i mroźno. Jedziemy wszyscy na otwarcie wystawy Olka Kobzdej. Przyłącza się do nas również redaktor Szydłowski. Ambasadę reprezentuje towarzysz Góra.

Wystawa została przygotowana przez Chiński Związek Plastyków w sposób bardzo staranny. Obrazy i rysunki zostały oprawione, niektóre nawet znalazły się pod szkłem. Ustawienie ich biegnie etapami naszej podróży, z tym, że portrety przodowników pracy, chłopów, żołnierzy, zostały wyeksponowane osobno.

Jesteśmy szczerze wzruszeni, zwłaszcza, że około dwustu malarzy chińskich, zgromadzonych na otwarciu wystawy, nie ukrywa swojej aprobaty. Młodzież akademicka jest wręcz podniecona. Kobzdej przemówił do człowieka chińskiego głęboką ideową i artystyczną prawdą swoich obrazów oraz znakomicie wycytum klimatem Chin. To są istotnie Chiny. Nie te, powtórzone fotograficznie z natury. Lecz Chiny przeżyte indywidualnie w swojej prawdzie i narodowym wyrażeniu. Przy tym kanon tradycji nie przesłonił Kobzdejowi nowego klimatu Chin Ludowych. Właśnie Ludowych, Chin idących do socjalizmu.

Kobzdej zbliżył się w swojej pracy do istoty realizmu socjalistycznego, dla którego forma nie jest warsztatowym założeniem a priori, receptą, lecz winna służyć prawdzie, podkreślając jej nie tylko obiektywny, lecz własny charakter, własne widzenie prawdy odbitej w wyobraźni autora. Na tropach zbliżania się do obiektywnego widzenia świata, autor pomaga widzowi nie przez postrzeganie cech przypadkowych, zewnętrznych, lecz przez wydobycie cech najbardziej typowych i charakterystycznych. I w tym sensie rola służebna formy, stylu, własnego wyrazu jest ogromna, jest decydująca, żeby dzieło sztuki mogło do nas przemówić jako zespół idei, jako określona treść zamknięta w obrazie artystycznym.

Sądząc z wypowiedzi, które skrzętnie nam tłumaczy Lo-I-Su, prof. Kobzdej potrafi zdobyć rzecz najważniejszą, potrafi emocjonalnie zaangażować odbiorców. I nawet nieistotne jest ilu za, a ilu przeciw. Ważne jest, że nikt nie pozostał obojętny.

Jeszcze kilka zakupów w mieście, które żegna nas słońcem i mrozem swych szerokiach ulic. Włóczy się po rozległym targu, nie mając już zresztą ani grosza przy duszy, po prostu, żeby nasycić się gwarem, hałasem, życiem chińskiego ludu. Zachodzimy do kawiarenki, pijemy herbatę, kawę, jemy cukrowane owoce.

Po obiedzie pakujemy się, zlorzeżając na walizki zbyt małe, na rzeczy zbyt duże i na zbyt szczodre podarunki. Nagły telefon od Olka:

— Przychodź. Jest u nas przedstawiciel ambasady Wietnamu, ustalamy charakter i termin podróży.

Wietnamczyk jest szczupły, nieduży, o czarnych, uważnych oczach. Początkowo nie wydaje się zadowolony z decyzji wystąpienia polskich artystów do walczącego Wietnamu. Upiera się wyjaśnia, że szanse powrotu nie przekraczają kilku procent, ponieważ w Wietnamie jest wojna i ludzie giną jak na każdej wojnie. Poza tym w Wietnamie nie ma ani miast, ani hoteli. Spać trzeba w szalasi i hamaku, ponieważ w dzień latają samoloty, a w nocy lażą żmije i skorpiony. Upiera się, że rząd i ludzie żyją tam w warunkach trudnej wojny, i że bardzo trzeba kochać sprawę, za którą się walczy i ginie, żeby zrozumieć sens tej walki, żeby móc ją przeżyć, a tym bardziej otworzyć w dziełach artystycznych.

Jeszcze jeden nocny spacer po ulicach Pekinu. — Ostatni. Gwar i hałas. Lampiony i światła hieroglifów. Zakamarki i zalotne spojrzania kobiet. Mróz i noc w ogromnych żłenicach gwiazd. Przyspieszony oddech nigdy nie gasnącego miasta, które przebiega ulicami szerokiej prospektów i tuli się do niskich domostw wąskich Hu-tungów. Dzwoni okrzykiem tramwajów i płacze klaskanoni aut i rowerów, przewala się, potracą rozgwarem tłumów ludzkich, tłumów radosnych i śmiejących się. Dziewczęta chińskie, urocz w swoich szafirowych kubraczkach i mantylkach, drobnymi kroczkami biegną wielkim życiem nowych, coraz to nowych dni Chin Ludowych. Jakże tej nocy kochaliśmy to życie, włączając się po znajomych, bliskich, serdecznych ulicach, zatrzymując się przed witrynami sklepów, restauracji, dancinów, zaglądając do podwórek i mieszkań, gapiąc się na czarnookie dzieci, żartując z młodzieżą, wymieniacząc znaczki i rozdając resztki zdjęć i fotografii z Warszawy.

Wielka jest przyjaźń i miłość narodów, poczęta w walce o człowieka i żyjącą myślą o człowieku i jego przyszłości.

Wieczorem siedzimy jeszcze u Kobzdej i Żukrowskiego. Na ten raz milczymy. Jesteśmy dumni i smutni. Słowa rosną nam w gardle i wydają się głupie, sentymentalne i niepotrzebne. Caujemy się więc na pożegnanie i rozchodzimy się bez słowa.

Włodzimierz Sokorski



Ze współczesnej sztuki chińskiej. Grafika Hsu Pei-hunga



Ze współczesnej sztuki chińskiej. Grafika Hsu Pei-hunga

(Początek na str. 1)

Stolarz, Jan Strojny, mieszkaniec tej samej kamienicy był szczerym niedzielnym człowiekiem o krótkiej delikatnej twarzy i oczach jak woda źródłana. Pracował przy remoncie tymczasowego gmachu Opery, ale znajdował czas i na obróbkę dziadek, i na male domowe remonty u lokatorów kamienicy. Miał ulubionego dowiec. Zapytany, ile się należy za jakąś drobną naprawkę mówił od niechcenia: „No już chyba te trzyście złotych zarobię”. I śmiał się do rozpuku widząc spłoszone albo przerażone spojrzenia, chociaż ci, co go znali, wiedzieli z góry, że tak żartuje i udawał tylko, że się zlekli. W istocie rzeczy tani był jak barszcz i podejmował się tych małych robót głównie z żądzi do ludzkich zmartwień i kłopotów. A też z wrodzonego upodobania w tym, żeby nie tylko u niego lecz wszędzie dokola panował schludny ład i porządek.

— No, co-o ja zrobię — mawiał. — Nie lubię ja, żeby gdzie było coś popuszczonego... Ale ja po sąsiedku tam, co tam... Warsztatu nie prowadzę.

Lohojki był dla Strojnego też czymś takim zdefektowanym, wymagającym remontu, niedostatecznym funkcjonującym; przykro mu było widzieć go smutnym, czegoś na darmo poszukującym. Chodził więc z nim do tych i owych znanych dziadek, przepytując, czy kto by nie przypuścił do wspólnej pracy, nie poddzwierzał, nie odstąpił. Czasem się coś udało. Ludzie prostowali się znowu zagonków, patrzyli w dal, wyciągali rękę, wolali:

— Tam, o, o, za tą żółtą altanką, tam na prawo, zaraz od głównej alei, tam jeden wcale nie uprawia. Mają mu dziadek odebrać. Może by panu dali.

Albo:

— Tam niech pan idzie, tam gdzie to czerwone dziale wino. Tam tego ślusarza przenoszą aż na Muranów. Mieszkanie nowe dostał i chce dziadek odstąpić.

Ale wszystkie informacje okazywały się albo nieścisłe, albo mówiły o rzeczach nierealnych. Najlepiej zdawał sobie z tego sprawę dozorca Styś, człowiek stateczny i praktyczny.

— Nie tumanieć na darmo człowieka, panie Jasiu — mówił do Strojnego. — Tylko mu głowę kręcić, a tu, a tu. Gdzie Lohojki był miał na zapłatę odstąpić, albo i na dzierżawę. Ludzie w te dziadek pieniądze pokładali. Sam tyle lat mam dziadek, a ciągle w nią wkładam i wkładam. Mnie się ledwie opłaci, a co dopiero jemu. I szkoda gadać, choćby miał na odstępnę, w zarządzie nie zatwierdzą.

A do Lohojkiego:

— Pan nie od tego końca zaczyna. Panu się dziadek należy. Jako ciotkowiekowi. Ale człowiek to mało. Musi pan mieć dokumenty w porządku i stałą robotę musi pan sobie obowiązkowo znaleźć. Wtedy dopiero ubezpieczalnia, dziadek, wszystko. Tak być na posyłkach i na posługach u każdego, jak pan teraz, to nawet nie pasuje. Pan ma wykształcenie, proszę pana.

— A-ha! — pokrzykiwał gromko Lohojki. — Słuszenie! Słuszenie!

W budce zarządcy dziadek stawiano tę sprawę łagodnie, ale też w duchu słów Bazyli Styś. Zaświadczenie urzędu pośrednictwa pracy, owszem, nawet za takie zaświadczenie mogliby przyjąć podanie Lohojkiego do rozwiązania. Żeby to zaświadczenie było, no, choćby sprzed trzech miesięcy. Ale sprzed sześciu — przestarzałe.

— Cóż to takiego? — pytano markotnie. — Przez tyle czasu nie mogli panu dać pracy?

— Ou-wszem, proponowali. Nie wszem. Nie każdy się do wszystkiego nadaje.

— Ale niechże pan bierz pracę jakakolwiek — chcieli mu iść na rękę. — Kontraktową. Zleconą. No, choćby prywatnie jakie u kogo zajęcie. Żeby pan choć ze trzy miesiące przepracował, już pan ma prawo do dziadek. A jak się pan gdzie zaczepi, to już potem będziemy się martwili, co dalej.

„Jakakolwiek robotę” zalecał Klemensowi Lohojkiemu także elektryk, Antoni Gwozdek, ale prócz tego, radził w ogóle zrezygnować z poszukiwania dziadek. Gwozdek, dobroduszy, krepły, jęgoszka, dotknął przedwcześnie tuszą i zadyszką, znany był w kamienicy z pogodnego, równego usposobienia. Miał piękną, pogodną jak i on, żonę, byli bezdzietni, od lat okupacji wychowywali czworo siostrzeńców, sierot, których matka umarła na suchoty, a ojciec zginął w Oświęcimiu. Prócz tego Gwozdek miał, jak powiadano, złote ręce. Nazwał samego siebie „kombinatem” i w samej rzeczy, niezwykle uzdolniony, znał niezgorzej niemal wszystkie rodzaje rzemiosła. Dla kamienicy był istnym „punktowiem ratunkowym”, gdyż równie dobrze, jak naprawić światło i radio, potrafił dorobić zgrubiony klucz lub zakrętkę do pieca, zreperować kran, zreperować kłopoty, czy gazowy piecyk w łazience, a w razie potrzeby wykonywał i zamówienia tapicerskie. Od czasu do czasu powierzano mu przeprowadzanie instalacji na państwowych robotach budowlanych, lecz nie wiązało się z tym na stałe. Wolał urozmaicone życie samodzielnego majstra, niespodzianek zamówień, bezpośrednie stosunki z uciekającymi się do jego „złotej ręki” klientami. Lubiał widzieć radość z

szybko i ładnie dokonanej naprawy. A zaradziwszy jakiejś naglej domowej biedzie, lubił słyszeć: „I o co byśmy bez pana zrobili!”.

Otóż Gwozdek mówił do Lohojkiego tak:

— Po co się pan upiera przy tej dziadek? Jak nie idzie, to trza dać spokój, brać się do czego innego. Człowiek musi wszystko potrafić i każde zajęcie ma swoje przyjemności. Ja przecie widzę, że pan i głowę ma, i ręce nie od parady. Sam bym pana wziął na pomocnika, ale zaraz powiedzą, że się na niemną zatrudniam i wyjdzie z tego kram. Zresztą i dziadek bez „miejsca pracy” pan nie dostanie. Radzę jak sobie samemu, imaj się pan pierwszego lepszego fachu. Zrazu ciężko, a potem... po-o-leci!

— Słuszenie, Słuszenie — przytakiwał Klemens Lohojki. — Każda robota dobra, każda teraz potrzebna. Ale, widzi pan... lala! Wiek. Młody może fach zmieniać. Zawsze do swego powołania dojdzie. Czasu, czasu ma dużo. A ja, cóż. Mnie już i nie bardzo gdzie chcę. To ja muszę chcieć. I swego na ostatku się dobić.

Jan Strojny był bardziej liryczny. Jego zróżnicowane czy przypatrywały się Lohojkiemu z kłiwym współczuciem. Uśmiechem dodawał otuchy i mówił:

— No, co-o ja z panem zrobię, żeby pan się tej dziadek dochrapał. Najlepiej, weź pan kawalek ode mnie i grzeb się pan w tej ziemi. Toć widać, że pan się na tym zna, że pan to lubi. Tu już ludzie o panu wiedzą, że pan jest znawca. I mnie pan to i owo doradził i drudzy chwalił, że pan tak niby tylko chodził, ale niejedno to pan lepiej wie nawet od instruktorki. Nieraz to myślę, czy pan był jakim ogrodnikiem, czy pan się może tego uczył? Albo... majątek jaki miał ziemski.

— Majątek? Nie. Skądże? — Lohojki energicznie potrząsnął głową. — Mój ojciec pracował na kolei. Daleko. W Rosji. Ale za młodu chodziłem do Wyższego Instytutu Rolniczego w Petersburgu. Wojna przerwała. Tamta pierwsza światowa. A potem w Puławach pracowałem. I w Morach, pan wie, stacja doświadczalna ogrodnicza. Niedaleko Warszawy...

— No, no no! Widzi pan, od razu zgadłem, że pan fachowy praktyk — ucieczył się Jan Strojny. — Co pan masz lazić, szukać. Powiadam, bierz pan kawalek ode mnie. Ja tam, co tam, grosza od pana nie chce. Ja te dziadek to dla dzieci głównie, żeby miały gdzie polatać, tych tam jagód poskubać. Żona też lubi posiedzieć i żeby kwiatki miała latem do mieszkania, jabłek parę na zimę. Ja tam co-o tam...

W samej rzeczy Jan Strojny prowadził dziadek wzorowo, ale miał ją głównie dla przyjemności, dla szczęścia. Co innego Bazyli Styś. Ten był człowiekiem rachunkowym. Dziadek winna mu była nie tylko dawać wszystko, co potrzeba do stołu, nie tylko wyżywić krótki, ale i czysty dochód przynosić. Styśowi prowadził wysoko gatunkowe kwiaty, na które umieli znajdować amatorów i w swojej kamienicy, i w sąsiednich. Nakłady Styśowi na dziadek były w istocie spore, ale Wiktorja Styśowa, osoba zazwyczaj narzekająca, sama mówiła Osieckiej, że tego lata zebrała za same róże nieliczne dochód, bardzo różany był rok. Osiecka, oboje z artystycznego świata — on był kompozytorem i skrzypkiem, ona pracowała w dziedzinie teatralnych słuchowisk radio — do lekkomyślności chcieli wiać na kwiaty, co uprawiało w okrutny gniew ich „gospośię”, starą Leopoldynę Kędziorek.

— Ady krew mnie zalewa — mówiła — jak się te stróż — nie uznawała terminu „dozorca” — pchał tu ze swoimi kwiatami, pieniądze tylko z kieszeni państwa wyciągają. Jakże to chytne ludzie — lrytowała się, choć żyła w przyjaźni ze Styśową. — I nigdy im nie dosyć. Jeszcze za te kwiatowszyska zdzierają. A niech zdzierają, jak są takie idyoty, co kupują — była złym okiem w „swoją panią”.

— Weale znowu tak nie zdzierają — oponowała Wanda — biorą tyle, co i na targu, a ich kwiaty dwa razy więcej stoją. Świeżutkie, prosto z grędy.

I żeby udobruchać Leopoldynę Wanda wymieniała fikcyjną, śmiesznie małą cenę, jaką rzekomo zapłaciła Styśowi ostatnim razem. Na to Leopoldyna podnosiła sprawę staran Lohojkiego o dziadek. Za dużo się o tym w domu Osieckich mówiło, żeby nie czuła się zagrożona. Całe życie czuła się czymś obrażającym ją zagrożoną.

— Co ten dziadek sobie myśli — burczała. — Dziadek mu się zachciało. I jeszcze panią namawia! Ciagle tylko słyszę o tej dziadek i o tej dziadek. Ja już wiem jak to będzie! Państwo weźną dziadek, a ja będę musiała na niej robić. Może ten dziadek będzie robić! Sam ledwo łazi.

Wanda Osiecka patrzyła na Leopoldynę w osłupieniu.

— Co się te Poldzi przysniło? Najpierw nie bierzemy jeszcze żadnej dziadek. A jeśli byśmy wzięli, to nie dla nas przecie. To tylko dla Lohojkiego. I Lohojki nie jest żaden dziadyga.

Osiecka drażniła, gdy słyszała, jak o Lohojkim odzywano się: „ten stary”, „dziad”, „dziadyga”, według niej w tym wyniszczonym, zaniedbanym człowieku było coś młodego choć nie wiedziała co. Zaprzęgała wylumaczyć Leopoldynę, że on jest bardzo jeszcze zwany i taki uczynny, taki zawsze gotowy

do pomagania drugim; prawda, że i ludzie mu pomagają przeżyć, ale on o tym nie dba, nigdy się sam o nic nie upomni, a ile przysług świadcza bezinteresownie, chociaż tak mało może. Leopoldyna przyjęła to inaczej. Nie mogła jakoś zrozumieć nic z przemian dokonujących się w świecie i złościła się, gdy mówiono, że dokonują się tak-że dla niej. Ale Lohojki to był w jej oczach widomy i zrozumiały akt pomsty społecznej. Nie pochodził przecie z takich jak ona, dziecko wiejskiej biedoty. A upadł niżej chyba niż ona; i gorzej mieszka, i w dziurach, latach jak strach na wróble chodzi.

— Ja wiem, że on nie z dziadów — upierała się mściwie. — Ale jak taki głupi, że zdziadził i zeszedł na psy, to niech się nie tka, gdzie nie trza. Na co mu dziadek? Czy to ja się staram o dziadek? Niech pilnuje, żeby go z tej dziury zapowietrzanej nie wysiadali, co w niej siedzi jak szczur. Milicja już znowu po niego przysyłała.

— Poldzi, przecież nie można tak o drugim człowieku... — próbowała Wanda wszcząć wspaniałą rozmowę, dla której nikt nie zdawał jej się nazbyt lichym partnerem.

— Daj spokój — przerywał Osiecki — Poldzia chce jak najlepiej, tylko źle to wyraża.

I szedł wygrywać swoje skrzypcowe tryle, a potem rozmawiali już sami o dziadek dla Lohojkiego. Mowy nie było, żeby które z nich znalazło bodaj „ogryzek” czasu na obrabianie dziadek. Nadto byli oboje nawskroś mieszcuchami, do roboty na dziadek nie ciągnęło ich z tą pasją, która w największym nawale pracy potrafi znaleźć nieistniejącą z pozoru dwudziestą piątą godzinę dla ulubionego zajęcia. Szło tu o co innego; żeby Lohojki nie mogąc uzyskać własnej, mógł pracować na ich wymagowanej dziadek. Proponował opłacać koszty albo dzielić się wedle umowy płodami. To niemożliwe. Oczywiście, żadnych opłat ani tych płodów od niego by się nie brało, a po ludzku biorąc byłoby to dobry uczynek pomóc w ten sposób komuś, co marzy o tej dziadek jak o niczym na świecie. Ale zawsze jest w tym jakaś szczypta oszustwa. Bo, rzeczywiście, dziadek przysługują tylko ludziom zatrudnionym i i obowiązuje się obojętności z rodziną je uprawiać. A do tego wszystkiego, żeby tak do gruntu wiedzieć, kim jest naprawdę ten Lohojki. Postać trochę dziwaczna, ale bardzo sympatyczna i to od pierwszego wejrzenia. Wprowadził się do kamienicy przed samym powstaniem i w czasie powstania dał się tu ludziom poznać. Był wtedy obrotny kradła brodą, w zasmolonej rdzawej twarzy świeciły zamysłone, niebieskie oczy, na głowie nosił śmieszny czerwony beret. „Patr, Tadiu — powiedziała wtedy Wanda Osiecka do męża — zupełnie postać” z powieści Wiktora Hugo”. Człowiek w czerwonym berecie kradł po piwnicach, schodach i przejściach podziemnych. Zawsze coś dźwigał na plecach, w reku albo pod pachą. Kiedy zabrakło wody, nosił starym i chorym wodę z niebezpiecznych studzien. Kiedy się zaczęły choroby, z narażeniem życia przynosił z nielicznych czynnych aptek lekarstwa. W czasie pożaru gasił go z najmniejszymi w miejscach wystawionych na gesty obstrzał z pola. Wszystko tak, ale czemu tak zmarł. Dlaczego tak właśnie żyje, dlaczego chodzi bez pracy? Osiecy byli z natury uczciwi, a nadto bezpartyjni, w związku z czym jeszcze pedantycznie przestrzegali akuracji postępowania. Tadeusz Osiecki, jako artysta skrzypiek, mniej miał zresztą skłonności do nabijania sobie głowy tego rodzaju skrupułami. Ale Wanda, o śmiejących się oczach, nie uchodziła za taką na zewnątrz, była maniaczką skrupułów.

3

A Lohojki tymczasem sprawdził datę w druczku otrzymanym od Wiktorji Styśowej i na wyznaczoną godzinę poszedł do Komisariatu Milicji. Podał druczek w okienko, chwilę czekał, a potem kazano mu iść do pokoju numer taki a taki. Przy jednym stoliku siedział młody człowiek w mundurze, przy drugim — panna. Młody człowiek skończył załatwiać interesanta, odeśłał go do panny i zwrócił się ku Lohojkiemu. Sprawdził imię, nazwisko i powiedział dosyć uprzejmie:

— Karty meldunkowej nie możemy wam, obywatelu, wystawić. Brakuje metryki urodzenia.

— Ou-wszem! Ja to już zgłaszałem. Przepadła.

— Pisaliście do urzędu stanu cywilnego w Łodzi? Oni tam zalegają takie wypadki.

— Pisałem. Odpowiedź też już tu złożyłem. Osobiście. Ja się urodziłem w dawnej Permskiej gubernii. Burza dziejowa, że tak powiem, unicestwiła dowody mojego przysięcia na świat. Ale wszystkie formalności w porządku. Świadców. W sądzie uwierzytelnione. Urząd stanu cywilnego w Łodzi wystawił świadectwo. Tu je złożyłem — powtórzył.

— Nie ma u nas takiego pisma. — A-ha! — Lohojki zaczął nerwowo szperać w starym zniszczonym pugłaresie. — Proszę... Zaraz... Pokwitowanie.

Młody człowiek wpatrzył się w podany karteluszek i lekko zarumieniał.

— Zaszyły tu zmiany personalne. musimy na nowo skontrolować ewidencję ludności okręgu.

Po chwili jakby wahania dodał. — No, dobrze, dobrze. Sprawdził się. Ale... napiszcie jeszcze raz.

Widząc, że młody człowiek zaczyna przebierać w papierach, Lohojki skłonił się i chciał wyjść, ale usłyszał jeszcze pytanie:

— Wy, obywatelu, dawno mieszkanie w tej kamienicy?

— Wprowadziłem się 20 lipca 1944 roku.

Młody człowiek zmierzzył wzrokiem od stóp do głów postać Lohojkiego, uśmiechnął się pokazując dużo białych wesołych zębów i nie wiedzieć czemu zaprosił:

— Siadajcie, proszę. A przedtem mieszkalicie?

— Na Chłodnej. — Po mgnieniu cisy Lohojki zaczął raptlem opowiadać:

— Mieszkałem u rodziny, którą Gestapo aresztowało. Wszystkich! Jak wracałem rano z pracy... Bo miałem nocną pracę... Znajomi uprzedzili, więc się wyniosłem. Ja prosiłem pana przez całą okupację byłem stróżem nocnym w jednej firmie futrzanej. I potem też. Dwa lata temu firmę upseleczono. I nie mogę się skarżyć. Proponowano mi te samą służbę, ale na innych warunkach i gdzie indziej. Na budowie. Ale tak w ogóle, chyba nie spodobalem się. Wie pan, wiek, sklerozą i właśnie te papiery. Ja to rozumiem. Zaczęłam szukać czego innego. Stróż nocny to nie moja specjalność. To nie może być nazywać specjalnością. Pan nie uważa? Oczywiście, są okoliczności...

Młody człowiek przestał się uśmiechać. Patrzył sennie, wesołe białe zęby znikły, a wargi zacisnęły się jakby powściągając złewanie.

— W porządku — mruknął. — Niech pan napisze jeszcze raz o kopie.

Lohojki zerwał się, krzyknął: „Przepraszam!” — i wyszedł.

Na ulicy wyjął z kieszeni drobne, przeliczył i pojechał tramwajem na Pragę. Miał tam znajomego, który się zajmował naprawą maszyn biurowych. Może się u niego trafi klient chcący niedrogo kupić używaną ale jeszcze dobrą maszynę do pisania. Staruszka z kamienicy, wdowa po profesorze, miała właśnie do sprzedania taką maszynę po swoim zmarłym niedawno mężu. Tego rodzaju pośrednictwo to też nie była specjalność Lohojkiego. Ale co robić. Może coś kapnie z tej transakcji. Sto złotych, to już byłaby dla niego piękna suma. A jeśli nie nie dadzą, staruszce należy się ta przysługa. Zresztą z Pragi Lohojki chętnie dojechał na Grochów. Tam znowu miał znajomego dziadek i tereny dziadek były tam dobre. Daleko, ale wzięby i tak daleko. Jakby dali użytkować altankę, a zdarzyłaby się porządna, można by na terenie nocować.

Wracał z tej wyprawy o drugiej po południu. Z maszyną pewno coś wyjdzie, za to z dziadek nie się nie nadarzyło. Była sobota, biura się wcześniej kończą, wracano tłumnie z pracy. Lohojkiemu nie chciało się pchać do zatłoczonego tramwaju. Szedł więc długo piechotą nie spiesząc się i rozmyślając. Dziwił się z przykrością, czemu tak dużo nie opowiadał o sobie temu z Milicji, który wcale nie był ciekawy go słuchać. Zawinił jego uśmiech pokazujący dużo wesołych białych zębów. Ten uśmiech Lohojkiemu kogoś przypominał. Przypominał mu pewną uroczą osobę. Krótko mu znana, ale dotąd najdroższą i jedyną. Tak samo śmiała się pokazując wesołe białe zęby, dolne i górne jednocześnie. Pociągła rzecz, żeby uśmiech milicjanta przypominał ukochną kobietę. Skusilo to do zwierzeń, które zamarzył, gdy tylko ów zwodniczy uśmiech się skończył. I dobrze — kogoś mogły obchodzić szczegóły jego nieciekawej biografii. A jednak obchodziły. Kiedy to ostatni raz wypełniał ankietę biograficzną? Aha, do urzędu pośrednictwa pracy. Ale tam niewiele było pytań. Zaczął błądzić myślami po wspomnieniach przeszłości, niby z nalogu dopełniając lakoniczną ankietę. I tak jak pężył zmęczone kroki, przepelżył mostem nad żurawnią Wisłą lejącym, kolorową pianką Mariensztatu, wiaduktem, zielonym jeszcze zbroczem Skarpy — dzieje życia.

Ojciec. Wcześniej osierocił, a mając z rodziny tylko zamezną siostrę mieszkającą w Rosji, pojechał do niej. Tam skończył jakoś studia, pracował jako inżynier-technik i kole. Zaczął pisywać do panienki, w której się kochał za czasów gimnazjalnych. Ona też była sierotą. Przyjechała na zaproszenie siostry zakochanego. Pobrali się, zostali rodzicami Klemensa. Prócz niego mieli jeszcze dziewczynkę. Dobrze im się powodziło, ale wciąż tęsknili do Polski. Powrót zawsze był w planach i zawsze odkładali go różne okoliczności. Ojciec umarł przedwcześnie na zapalenie płuc, nie wysłużywszy emerytury. Zaczęła się bieda. Klemens kończył wtedy pierwszy rok studiów w Instytucie Rolniczym w Petersburgu, jego siostra przesiadała właśnie do szóstej klasy. Trzeba było przerwać studia, wziąć się do pracy. W stolicy żyć było za drogo. Prowincjonalne miasto pod Uralem nie dawało możliwości zarobienia lekcjami na utrzymanie trzech osób. Przez stonki kolegów Polaków z Instytutu Klemens trafił aż na Ukrainę do dworu polskich ziemian. Tam przygospodując dwu chłopów do gimnazjum nauczył się od ich guwernera trochę po francusku, od dam,

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

Był tam prawie dwa lata. Siostra skończyła gimnazjum, Klemens miał stawać do poboru i prosić o odroczenie dla podjęcia przerwanych studiów, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Poszedł więc na wojnę, a siostra przeszedłszy odpowiednio kurs została sanitariuszką frontową. Obie te rzeczy, jak się okazało, zapewniły matce lepsze warunki bytu, niż jej miała, gdy Klemens porwał się z umysłami ziemiańskich synów. Klemens był z przekonań pacyfistą, ale mając nieprzebrane zasoby dobrej wiary i woli uwierzył, że ta wojna to jego droga do Polski. Przecież wszyscy znajomi Polacy mówili, że to walka na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem, że będzie drugi Grunwald, że wszystkie zabory się polączą, wprawdzie pod berłem cara, co było nieprzyjemne, ale że Polska potem się jakoś spod tego cara wyzwoli. Był

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

Był tam prawie dwa lata. Siostra skończyła gimnazjum, Klemens miał stawać do poboru i prosić o odroczenie dla podjęcia przerwanych studiów, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Poszedł więc na wojnę, a siostra przeszedłszy odpowiednio kurs została sanitariuszką frontową. Obie te rzeczy, jak się okazało, zapewniły matce lepsze warunki bytu, niż jej miała, gdy Klemens porwał się z umysłami ziemiańskich synów. Klemens był z przekonań pacyfistą, ale mając nieprzebrane zasoby dobrej wiary i woli uwierzył, że ta wojna to jego droga do Polski. Przecież wszyscy znajomi Polacy mówili, że to walka na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem, że będzie drugi Grunwald, że wszystkie zabory się polączą, wprawdzie pod berłem cara, co było nieprzyjemne, ale że Polska potem się jakoś spod tego cara wyzwoli. Był

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

Był tam prawie dwa lata. Siostra skończyła gimnazjum, Klemens miał stawać do poboru i prosić o odroczenie dla podjęcia przerwanych studiów, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Poszedł więc na wojnę, a siostra przeszedłszy odpowiednio kurs została sanitariuszką frontową. Obie te rzeczy, jak się okazało, zapewniły matce lepsze warunki bytu, niż jej miała, gdy Klemens porwał się z umysłami ziemiańskich synów. Klemens był z przekonań pacyfistą, ale mając nieprzebrane zasoby dobrej wiary i woli uwierzył, że ta wojna to jego droga do Polski. Przecież wszyscy znajomi Polacy mówili, że to walka na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem, że będzie drugi Grunwald, że wszystkie zabory się polączą, wprawdzie pod berłem cara, co było nieprzyjemne, ale że Polska potem się jakoś spod tego cara wyzwoli. Był

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

Był tam prawie dwa lata. Siostra skończyła gimnazjum, Klemens miał stawać do poboru i prosić o odroczenie dla podjęcia przerwanych studiów, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Poszedł więc na wojnę, a siostra przeszedłszy odpowiednio kurs została sanitariuszką frontową. Obie te rzeczy, jak się okazało, zapewniły matce lepsze warunki bytu, niż jej miała, gdy Klemens porwał się z umysłami ziemiańskich synów. Klemens był z przekonań pacyfistą, ale mając nieprzebrane zasoby dobrej wiary i woli uwierzył, że ta wojna to jego droga do Polski. Przecież wszyscy znajomi Polacy mówili, że to walka na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem, że będzie drugi Grunwald, że wszystkie zabory się polączą, wprawdzie pod berłem cara, co było nieprzyjemne, ale że Polska potem się jakoś spod tego cara wyzwoli. Był

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

Był tam prawie dwa lata. Siostra skończyła gimnazjum, Klemens miał stawać do poboru i prosić o odroczenie dla podjęcia przerwanych studiów, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Poszedł więc na wojnę, a siostra przeszedłszy odpowiednio kurs została sanitariuszką frontową. Obie te rzeczy, jak się okazało, zapewniły matce lepsze warunki bytu, niż jej miała, gdy Klemens porwał się z umysłami ziemiańskich synów. Klemens był z przekonań pacyfistą, ale mając nieprzebrane zasoby dobrej wiary i woli uwierzył, że ta wojna to jego droga do Polski. Przecież wszyscy znajomi Polacy mówili, że to walka na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem, że będzie drugi Grunwald, że wszystkie zabory się polączą, wprawdzie pod berłem cara, co było nieprzyjemne, ale że Polska potem się jakoś spod tego cara wyzwoli. Był

co się przystojnym nauczycielem interesowały — tak zwanych dobrych manier, a z innymi domownikami uprawiał się w polszczyźnie, której wyniósł tyle, co z domu rodziców i ciotki. Dwór mu się zresztą nie podobal, choć żyło się tam jak w raju. Zaprzyjaźnił się tylko z ogrodnikiem Polakiem. Z nim spędzał wszystkie wolne godziny, od niego się najwięcej nauczył, a zamilowanie do nauk przyrodniczych i niewiadomo skąd wzięte upodobanie do pracy na roli przybrało cechy pasji do ogrodnictwa.

graj, poszedł pracować na ową stację doświadczalną jako prosty robotnik, bo i tam nie było etatu. Wyróżnił się, z czasem został przyjętym kontraktowo do Instytutu Badań Rolniczych w Puławach. Tam powierzano mu już bardziej odpowiedzialne prace, ale i tam dosięgła go redukcja.

Oto wszystko, prócz najważniejszej rzeczy, która nie nadaje się do żadnej ankiety biograficznej. Przez wszystkie lata wojny żył miłością do kobiety spotkanej na Wołyniu w miasteczku, pod którym stali pół roku na walce pozycyjnej. W nią wcieliła mu się błogość wyczekiwanej ojczyzny. Ciemnobrowa szatylnka, śniada, o modrych oczach i głosie, co był słodki, gęsty i leciutki chrząszczący jak gryłazowa czekolada, którą się wtedy jadło i lubiło. I o uśmiechu podobnym temu, co mu mignął, gdzie, o Boże, w Komisariacie Milicji! Gdy odzyskawszy wolność rzucił się jej szukać (listy się dawno urwały), nie znalazł jej między żywymi. Epidemia złośliwej grypy nawiedziła miasto, gdzie był szczęśliwy. Powitanie ojczyzny zeszło się z ciężką żalobą głębi serca. Wspomniło mu się to wszystko, ale ani wtedy, ani teraz, nie narzekał na swoje losy. Stwierdzał tylko, że to i owo się z nim działo.

Na Krakowskim Przedmieściu złapał setkę, autobus był już dość pusty i gdy usiadł w skórzanym fotelu, a koło okien przebiegły fron-

MARIA

TRZECIA

4

Jakoś w listopadzie wędrując po

dziadekach układowych się już do zimowego spoczynku, Lohojki spotkał Strojnego idącego a nawet biegnącego prawie ku furcie.

— A ja do pana leczę — zawołał ujrzawszy Lohojkiego. — Widzi pan — zatrzymał się zdyszany. — Tak my szukali, szukali, a nie wiedzieli my, że już parę tygodni jest dziadek do wzięcia od zaraz i bez kłopotu. Chodź pan prędko, to trochę dalej, prawie koło Alei Niepodległości. Chodź pan, chodź pan, kobieta czeka. Powiedziałem, że pana zaraz przyprowadzę.

Zawrócili, Lohojki pytał ostrożnie:

— Duża odpłata? — Nie tam, co tam, żadnej odpłaty. To jeden tapicer. Ja go znam. On jakiś czas robił ze mną w ministerstwie, gdzie się meble wyściełane szykowało. To dobry człowiek i dobry majster, tylko, widzi pan, o — tu Strojny pszyknął się palcem w szyję. — Nalógowy. Nameściła się kobieta i nie dała rady. Będzie parę tygodni temu, jak na ulicy upadł, nawet pijany wtedy nie był, o robotę szedł się dowiedzieć, bo go z tej, co ją miał, zwolnili przez to państwo. Atak jakiś go złapał. Pogotowie do domu go dostawiło, a teraz wzięli go do Tworek. Nie żeby za wariata go mieli, tylko że tam leczą takich trunkowych.

Strojny zapomniałszy o pościechu zwolnił kroku i jeszcze opowiadał:

— Kobieta, widzi pan, chce dziadek przetrzymać, aż on wróci. Bo, powiada, że on tam, co tam, najwięcej na tej dziadek. A po prawdzie — dodał spiskowo — to żeby żony nie martwić z butelczyną na tę dziadek chodził i tam się w altance upijał. Ta-ak, widzi pan, ta-ak. Rozmaicie ludzie tę samą rzecz użytkują.

— Absolutnie rozmaicie — potwierdził z energią Lohojki.

— O-o-o, to będzie tu. Pani Mielczarkowa!

— A-ha! Mielczarkowa. Już wiem. Zdarzenie! — zadziwił się Lohojki.

Od razu poz

się wstydliwie Mielczarkowa. — I wtedy pana poznałam jak pan przyszedł z doktorem. Tylko to był taki straszny dzień, to nie mówila. Głowem wtedy straciła.

Mielczarkowa nie nie chciała od Łohojkiego, tylko żeby uprawiał działkę i wpłacał, co się za nią należy w zarządzie pola.

— Maż bardzo chory na serce. Doktor powiedział, że z pół roku trzeba go leczyć — zarumieniła się i uśmiechnęła jeszcze wstydliwiej. — Ale na pół roku panu nie opłaciłoby się brać, to ja panu oddam na rok. A jak i to panu za krótko... no to na dwa. Ja już meldowałam w bucie. Zgadza się. Strojny powiada, że jak panu dam, to w dobre ręce. I tu wszyscy tak mówią.

Strojny pogadał jeszcze i poszedł na swoją działkę przyrządzać kompost, a Mielczarkowa objaśniała dalej Łohojskiemu, że sama w żaden sposób działki nie uprawi, bo musi teraz robić za dwoje. Była krawcową, pracowała już i przedtem w spółdzielni bieliźniarskiej. Ale teraz musi i do domu brać od sąsiadów różne małe naprawy, przeróbki. Mają chłopczyka i dziewczynkę. Dzieci chodzą do szkoły. Chłopiec — do muzycznej, mówią że bardzo zdolny, że będzie z niego artysta.

— Więc jak wrócę z pracy, to muszę przedko dzieciom obiad ugotować i takie różne rzeczy, pan wie jak to jest; w domu nigdy nie brak zajęcia. Wieczorem to trzeba trochę na nasze życie dorobić, najwię-

Melon nie okazał się słodki, ale był wonny i soczysty. Natomiast słodkie i jeszcze soczystsze okazały się pomidory Łohojkiego, które niebawem zaległy półkę Osieckich oryginalną intensywną czerwienią.

— Krajowa odmiana — zalecał je Łohojski. — U nas wyhodowana. W Morach. Zwracam uwagę — wszystkie dojrzały na krzakach. Namówilem już kilku działkowiczów, żeby nie zrywały zielonych. Nie wskazane. Najtrudniej z tym pod jesień. Będę próbował przyspieszać dojrzwanie naturalne późniejszych zbiorów. Są sposoby...

— Wyborne — zachwycali się potem Osiecy smakiem pomidorów Łohojkiego. — Prawie bez pestek i skórka taka cieniutka.

Irytowało to starą Leopoldynę. — Wyborne! Wyborne, bo nie ja kupiłam na targu, tylko Łohojski przyniósł. A niech przynosi. Mogę nic nie kupować. Dużo tyż za nie wziął?

— Nie jeszcze nie wziął i nawet nie chce. W niego pieniądze trzeba wmuszać.

Nie udobruchana tym Leopoldyna dalej gniewała się na pomidory.

— Co nie mają być dobre? Żeby kto wiedział, co on pod nie podtyka. Jakie tylko są nieczystości zbiera, że porządny człowiek by się wstydził. A kości to mało mu ludzie nadają? Ja sama z każdego mięsa kości dla niego chowam. I jeszcze mu mało, po śmietnikach

skrzynki, doniczki zieleniujące gęsto runia albo pojedynczymi okazami młodych roślin.

Wewnątrz izby także się coś zmieniło, mimo że ściany były tak samo jak dawniej zakopcone dymem „kocy”, ubogie sprzyły, kilimki, posłanie, tak samo stare i przyniszczone. Ale słynne „rupiecie” zajmowały jakoś mniej miejsca, czasopiśma i książki pojawiły się także na zagraconej wprzód półce, a izbe rozświecały nadto jaskrawa żółcizna brzuchate dynie. Mniejsze leżały na szczycie półki, jedna, monstrualnych rozmiarów, leżała czy raczej stała na podłodze. Łohojski natomiast nie leżał, jak spodziewała się go zastać Wanda, lecz siedział przy stoliku i pisał na dziwnego kształtu staromodnej maszynie. Na widok Osieckiej zerwał się zmieszany i rzeczywiście jakby zły. Był starannie ogolony, ale włosy, dawno nie strzyżone, spadały mu kopną siwiejącą grzywą na wysokie, bielsze od twarzy czoło. To nadawało mu wygląd cokolwiek dziłki, choć zarazem — szczególnie młody.

— Prze-praszam! — wykrzyknął. — Czemu pani nie dała znać? Tożbym przyszedł! U mnie tak! — rozzejrzał się zakłopotany.

— Jak mnie pan wita? Zamiast ucieszyć się, poprosić, żebym usiadła... Co, pan był chory?

— A-ha! Trochę niedzród. Mało ważne. Mało ważne. Serduszek na waliło. Skleroza! Vieillesse! Już minęło. — Podsunął Wandzie krzesło, a sam siadł na tapczanie.

— Nie wiedziałam, że pan umie pisać na maszynie. Co za maszyna! Skąd pan coś takiego wytrzasnął?

— Poniekąd — maszyna przedpopowa — uśmiechnął się swym chłopięcym, trwóźnie psotnym uśmiechem. — To mój procent od jednej transakcji. Staruszka, wdowa po profesorze, prawa oficyna, trzecie piętro. Sprzedałem jej maszynę, mały Remington, ou-wszem, wcale dobra. A ta stała u niej bez użytku, jeszcze z młodości męża. Bardzo stary model, tego już nikt nie kupi. Pomyślałem, że dla mnie to więcej warte od pieniędzy. Chętnie używała. I wprawiam się. Różnica znowu nie taka. Trzy rejestry i trochę inny układ liter. Ale może jednak wyjdziemy? Tu taka nora...

— Jaki pan niegościnnie. Ile razy przyjdę, to albo mnie pan nie chce wpuścić, albo zaraz wyrzuci. To pana plony? — zaśmiała się wskazując wzrokiem na dynie.

— A-ha! Może pani reflektuje na coś takiego? Niektórzy gustują. Ja, przyznam się, bardzo lubię żupę z bami, jak tu nazywają tę jagodę.

— Jagodę?! A to dobre!

— Tak jest! — huknął. — Dynia jest jagoda. Zdrowa jagoda, zająca. Wcale nie taka ordynarna, za jaką uchodzi. Są wysokie gatunki, słodkie. Taka na przykład, o, proszę. Krzywżoną z melonem.

Pokażal niedużą dynię podłużną, jasnoocytrowego koloru.

— Nie zadowoloby skosztować — zachęcał. — A może kto ze znajomych? Są amatorzy. Mnie jedna wystarczy do zupy na całą zimę. Ot, ta największa. O ile myszy nie skonsumują. Ale i dla nich starczy. Można i pierożki. Tylko to już rarytas, damski kunszt. Albo w miodzie z octem do mięsika. Ale ja mięsika mało konsumuję. Chociaż nie podzielać przesądu co do, z przeproszeniem, końskiej poledwiczki. Ou-wszem, kupuję niekiedy. I smaczne, i białka więcej procentowo...

— W Paryżu od świętej pamięci są końskie janki.

— Nie byłem. Nigdy nie byłem na zgnilym zachodzie — uśmiechnął się przekrzywając głowę, tuląc ramiona i potnie błyskając niebieskim okiem.

— Panie Klemensie, to może delikatnie, ale pytam z przyjaźnią. Co pan jadł, jak pan był chory? Pan schudł jeszcze. Dlaczego pan nie zawiadom? Przecież przyniosłoby się od nas...

— Jakże to? — zdziwił się Łohojski. — Przecież państwo przysyłał. Pani Leopoldyna... Ja właśnie miałem iść podziękować i prosić: nie trzeba!

— Ah, to ona sama ze siebie — ucieszyła się Wanda. — Nam nawet nie powiedziała, że pan był chory. Zaraz... ale w ogóle... czy pan coś jada? Oprócz tej końskiej poledwiczki?

— Gdzieżbym nie jadł! Mleka pijam, ile dusza zapagnie. Kwaśne, słodkie. Szlachetny trunek. I kosmetyczny środek, odmalczający — Łohojski uśmiechnął się po swojemu. — Czasami, ou-wszem, i na miasto jeść chadzam. Są i nieźle jedłojadnie. Wprowadzili jednodaniowe obiady. Cztery zetelpe i pięćdziesiąt groszy. Przystępne. Kawał, z przeproszeniem ścierwa czyli, mięska w zupie. Nie narzekam. Smaczne. Ale może jednak wyjdziemy — nastawał usiłując zasłonić sobą garnuszek z reszka przyswędzonej kaszy i brudne mydliny w misce.

— Nie przeszkłaby się pani w pole? Trzy dni nie byłem na działce.

— Ale Wanda była nielitościwa: — Niech pan się tak nie kręci, bo ja i tak widzę. Niech pan się ładnie zaczesze, niech pan tu zrobi potadek. Ja zaczekam na pana w bramie. Ou-wszem — przedrzeźniła go — pójde z panem się przejść.

Po małym czasie Łohojski wyszedł z gołą głową i włosami zagarniętymi do góry. Skrzypnęła furtka i weszli w główną aleję działek.

DĄBROWSKA

JESIEŃ

cej to oczek w poręczach dają do podnoszenia. A wszystko pilne, pilne. Licz pan, że jeszcze dzieci trzeba obścić, opruć, obreperować. Ja — dodała — dobrze bęm na wszystko zarobiła, żebym pracownie otworzyła. Ja nie jestem od bielizny. Ja i kostium damski, i jesienkę ładnie uszyję. Dawniej miałam pracownie. Ale to bardzo wysokie są podatki, i elektryczność inaczej liczą, nie dałabym rady. No, wiadomo, nastały inne czasy. Trzeba się przyzwyczaić. Żeby tylko maż nie był taki... chory. Panie — przypomniała sobie — niech mi pan dziewczka owocowe zostawi. To dla dzieci.

Tak tedy Łohojski został wreszcie działkowcem i następnego roku, pod koniec sierpnia, przyniósł Osieckim pięknego melona.

— Celem degustacji — oznajmił. — Czy będzie słodki. Państwo może znają taką książkę. Gostomski: „Gospodarstwo”. XVI wiek. Już wtedy w Polsce hodowano melony. Ma się rozumieć — klasy uprzywilejowane, tak? Tam napisano: „Melony mają być duże, pachnące i słodkie”. No, tego roku insalacja była słaba. Ale chcę wiedzieć! Obiektywnie. Słodki, czy nie?

— To pan takie rzeczy hoduje? — zdziwiła się Wanda. Wyobrażała sobie, że Łohojski będzie raczej hodoował pozywienie dla siebie: groch, fasolę, kapustę, kartofle, marchew.

— Experiment! — wykrzyknął. — Sadziłem trzy rodzaje ziarna: radzieckie, angielskie i z naszych stacyj doświadczalnych. To jest angielski. Wczesny. Ale z każdego przyniosę próbę. Pani mi powie, jaka różnica. Difference! A-ha! Uprzejma prośba. Po skonsumowaniu — ziarenka dla mnie. Celem wyselekcjonowania gatunku odpowiedniego na działki. Trudne zadanie. Difficile! — huknął znów z akcentem na pierwszą sylabę.

— Takie trudne? — zagabnęła Osiecka przez grzesność.

— Cóż — wolna miłość z otaczającą naturą. Posadzisz melony, a sąsiad ogóreczki, tuż tuż. Ale ou-wszem, zaczynają się interesować. Melony to i smak, i na przemianę materii dobrze robi. Choć dynia lepsze. Ale melon i cenę na rynku ma.

— A ja strasznie lubię kawony.

— Dostarczę. Przypadkiem dostanę amerykańską odmianę. Mam i z ukraińskiego ziarna. Jest już sporo amatorów. Sprawa poważna. W przyszłym roku postaramy się łaczyć sąsiedzkie działki tak, żeby melonowe grędy... Ale ja może przeszkadzam? Pani pomyśli — stary wariat.

— Nie. Uwielbiam starych wariatów — szare oczy Osieckiej iskrzyły się od rozbawionego śmiechu.

— Można i na działkach uzyskać izolację przestrzenną celem zwalczania wolnej miłości z ogórkami — ciągnął tedy Łohojski sam się ze siebie śmiejąc swym uśmiechem trwóźnie psotnego chłopca.

jak jakiś żebrak szuka. Upali to, utłucze i na tę działkę niesie. Ze wszystkim dziadyga zgłupiał i tyle. I nawet wcale nieładna ta jego działka, gdzie jej do drugih. Ja chodzę na działki ze stróżką, to widziałam.

Następnego lata Łohojski znowu przyniósł Osieckim dwa melony i wcale rostego kawona. Upredził, że jeden z melonów ma miąższ zielonego koloru, kawon zaś będzie w środku nie czerwony lecz żółty. I znów powiedział:

— Celem degustacji. Jeśli będą słodkie, proszę uprzejmie po skonsumowaniu...

— Ziarnka dla pana — dokończyła za niego Wanda; Leopoldyna zaś przemijając potem owe ziarnka na sicie pod zlewem, pomstowała:

— Jeszcze o tych pestyczkach dla tego Łohojskiego pamiętaj. A plucz mu je, a wysusz. Co za człowiek z takimi grymasami!

W tydzień potem Wanda Osiecka wybrała się do Łohojkiego, by mu oznajmić, że i kawon i melony były, o dziwo, słodkie. Gdy przemierzała podwórze, Stysiowa ustawiająca właśnie na laweczkę pod swoim oknem „chryzantemowe” astry do sprzedazy, zawołała:

— Pani do Łohojkiego? On jakiś chory. Parę dni wcale nie wychodził. A zył!

I poruczywszy kwiaty zbliżyła się, by coś opowiedzieć.

— Cholera! Kura mi jeść przestała (opócz królików Styslowie hodowali też drób), musiałam zarzącać — oznajmiała spiskowo. — Wzięłam, nagotowałam rosółu, zasypałam kwa-kowską kaszką, pani wie po czemu teraz krakowska kaszka? No, proszę! Pani widzi, jak ja chodzę. Czy ja mogę sobie co sprawić?

— I co z Łohojskim? — Osiecka zenika na zegarek.

— Co ma być? Wczoraj mu zaniosłam tego rosółu z tą kurą. Ja mu tam nierz coś podetknę do zarcia — twarz Styslowie wyrażała w tej chwili pogodną satysfakcję, znikło z niej niecierpliwe wycekiwanie. — Ale czy to do czego podobne, żeby taki człowiek nie miał ubezpieczalni? — dodała z powracającą irytacją. — Jakby ciężko zachorował, to co z nim robić? Jaki szpital go przyjmie?

— Szpital i ziemia zawsze przyjmą — roześmiała się z pozorną beztroską Wanda. Zastukała do Łohojkiego.

— En-trez! — krzyknął z wnętrza, fatalnie akcentując.

Osiecka nie była już dawno u Łohojkiego. Pracowało się w radio coraz to bardziej gorączkowo, nie było chwili nawet na słusności towarzyskie z najbliższymi. Ale już od jakiegoś czasu przemierzając podwórze zauważała zmiany w ponurym oknie Łohojkiego. Zawsze teraz bywało czysto umyte, a o przedwiośni i wiosną stały na nim dobrze widzialne przez odzyskaną przejrzystość szyb, jakieś słodki,

patos. W czasie okupacji stanowią jedyną idyllę pośród piekieł. Uśmieczeni nad rozkładkami ludzie zapominali na chwilę o straszliwej ciemności położenia. Ale dramat historii dosięgał i sielankowych pól. Wandy, która była dawną mieszkanką ulicy, przypomniało się jedno z takich osiągnięć.

— To było 6 maja 1944 roku. Jakaś akcja na Polnej czy na Jaworzyńskiej. Zresztą podobno nieudana. Serie z niemieckich maszynek poszły wtedy na działki, godzina pięta — szósta po południu. Byłam tu właśnie wtedy. Tak samo szłam na spacer ze znajomymi, co mieli tu ogródek. Tylko dalej, za Aleją Niepodległości. Ale i tam kule gwizdały. Długo leżeliśmy na ziemi. Kilkanaście trupów padło wtedy na działkach. Wie pan — przekroczyła na inny temat — aż mi wstyd, że dotąd nie byłam na tej pana działce. Uwielbiam zrealizowane marzenia.

Zrealizowane marzenie Łohojskiego wyglądało inaczej niż wszystkie sąsiednie działki i nie bardzo podobalo się Wandzie Osieckiej.

Nie było tu ślicznych ścieżynek okładanych kamyczkami czy cegielkami albo brzeżonych kwieciami. Wszędzie pokopane rowki pełne mętnej, żółtawej wody. Na przeciwnych sobie krańcach działki płowały się w różnych kierunkach i na różnych poziomach melony i kawony. Jedne na przymałych wyniosłych grzędach, inne po równym gruncie, inne jeszcze staczały się z obłych kopczyków. Kilka sposobów gromadzenia kompostu szepto działkę. Przed altanką leżały porzewiałe kawałki rur, w dołku świeciła rozrabrana z wodą glina, obok — stroszył się brunatny stos pokruszonego torfu.

— Co to jest? — pytała Wanda lekko rozczarowana.

— To jeszcze nie jest. Ale będzie. Ziennie doniczki. Pani słyszała o tym? To stara rzecz, znane już z pięćdziesiąt lat. Wielkie u-usprawnienie, tak? przy wszelkiego rodzaju rozsada. Przyspiesza wegetację, no i tam dalej. Próbuje skonstruować przyrząd... Żeby produkować ziemne doniczki w ilości stosownej dla potrzeb działkowiczów. Jakby pani była ciekawa...

Wanda nie bardzo była ciekawa.

— Racjonalizatorstwo? — zaśmiała się szarymi oczyma. — Na pewno wymyślił pan coś arcydowcipnego, ale ja się na tym nie znam. Owoce pan ma ładne.

— Owoce nie moje. Drzewka zastregła sobie Mielczarkowa.

Tu Łohojski opowiedział, że Mielczarkowa, żona tapicera, już trzeci rok oddaje mu tę działkę. Maż się już z tej choroby serca nie dźwignął. Ani z choroby, ani z nalogu. Co popracuje, biorą go do szpitala. Dwa razy był już w tym zakładzie, gdzie leczą alkoholików. A i teraz w tej chwili jest w szpitalu.

— W tym, co się dawniej nazywało... zaraz... Ot, skleroza... Ale ludzie narzekają. Podobno niedobry szpital.

— No, tak. Szpitala są jeszcze różne. Ale niech pan weźmie, ile ludzi się leczy. Wszyscy, aż do pierwszego lepszego stróża nocnego... — Osiecka się zatchnęła i poprawiła: — do najprostszego ciemnej do niedawna baby rozprawiają o przeświadczeniach, odmach, roentgenach. Raz, tu w naszym sklepiu słyszałam, jak dwie babiny gadały o miedniczkach nerkowych i że jeśli miedniczki, to w analizie nie białko, tylko muszą być leukocyty. Ludzie nie zdają sobie sprawy, ile się w nich zmieniło. A co do szpitali — tu Wanda przerwała spontezgłszy pod krzewem bz w kilkunow foteł, który niedawno z mężem skazali byli na zagładę, bo już go się nie opłaciło naprawiać. „Za pozwoleniem — powiedział wtedy Łohojski. — Ja go wezmę”. A ona zaśmiała się: „Do rupieciarni? Proszę bardzo”. No, i patrzył państwo, Łohojski cudnie tego starego grała wyszykował. Nogi były jakoś ozdobnie zesznurowane, porwana wiklina drobnymi gwóźdźkami poprzybijana, foteł zaczął znów służyć.

— Nie-e! — śmiała się Osiecka. To ci z pana majster.

— Zużytkowanie odpadków — zaakcentował z ożywieniem Łohojski. — Słuszną zasadą. Bardzo słuszną. Oto mój bon repos. — Zaprosił gestem rak.

— Co do szpitali — wracała jeszcze do swego Wanda — ja panu powiem. Teraz jest ważne, kto jest chory. Jeśli to będzie produkujący robotnik, albo uczony, artysta, działacz, w ogóle jakiejś zasługi człowiek, to proszę pana, wszystko będzie do jego dyspozycji nawet i w gorszym szpitalu.

— Dawniej, tak, wszystko było na usługi tego — i Łohojski wykonał palcami gest liczenia pieniędzy — kto miał złoście. No, to dzisiaj... Moralniejsze! — krzyknął potraszając energicznie głowę. — Moralniejsze!

— Chodźmy jeszcze popatrzeć na działki — zaproponowała Osiecka. — Tu jest ślicznie.

Było rzeczywiście ślicznie. W ciepłym wrzesniowym powietrzu owoce grały barwami na dobrze utrzymanych drzewkach. Od kwiatów aż emiło w oczach, warzywa były dojrne, kędzierzawa gęstwina ogródków tchnęła wesołym blaskiem urzadzu. Od wielu tygodni panowała susza, lecz działki były doskonale nawodnione i gęsto rozstawione hydanty pozwalały bez trudu podtrzymywać wilgoć, zwłaszcza że wszyscy działkowicze dopracowali się już węzów gumowych. Nawet i Łohojski miał węza, przemyślnie

sztukowanego z kawałków, ale poprawnie funkcjonującego. Pierwotne altanki przeszły też dużą ewolucję; przeważnie były to już drewniane maleńkie domki, czasem z przepierzeniem na kuchenkę, z oknami, firaneczkami, cplecione czerwono kwitnącą fasolą, powojem lub dziłkiem winem. Niektóre służyły za miejsce wypoczynku po pracy i na skład narzędzi; większość dawała już możność spędzania w nich nocegu z soboty na niedzielę, a nawet służyła jako „letniaki” dla żon i dzieci pracowników. Życie wrzało na działkach.

W jednym z ogródków stał młody człowiek lat pod trzydzieści o dużej twarzy spotałej i opalonej; tylko co, widąc, podniósł się od jakieś roboty, otrząpywał spodnie i odwijal rękawy koszuli. Popatrzył w stronę idących.

— Panie Łohojski! — zawołał. — Ja wezmę od pana tych karłowych słoneczników.

— A-ha! Służę! W każdej ilości — odrzekł mu Łohojski.

— To bukietowe słoneczniki, te karłowe? — zainteresowała się Wanda.

— Nie, to na olej. Do przemysłowej uprawy karłowy słonecznik najlepszy.

— Przemysłowa uprawa? Na działkach? — w pytaniu Osieckiej był ton przygany.

— Nie. Heduujemy celem selekcji ziarna. To można i na działkach. Zawsze pożytek ogólny i tam dalej.

— Taki pan bez przydziału, a nie tylko pożytek na wszystkie strony lubi pan przynosić. Ale to nie z naszego domu, ten co pytał?

— Nie. To milicjant jeden. A ja, owszem, pożytek przynosić lubię. Może pani raczy tędy. Pokażę piękną działkę.

Podeszedł do działki otoczonej wałem róż jeszcze kwitnących. Była istotnie piękna. Nieliczne, ozdobnie rozstawione drzewka uginały się pod szczególnie okrywającymi gałęziami owocami najszlachetniejszych gatunków. Domek-altanka obrośnięty był różami, klematisem i winoroślą polyskującą ciemnymi i różowymi granami. Rzadliche odmian byliny i kwiaty sezonowe zarzyły się uniejętnie dobranymi barwami. Łohojski objaśnił, że to jest działka znakomitego profesora i uczonego, doktora Węzyka, mieszkającego o parę domów od ich kamienicy. I opowiedział trochę o tej działce. Profesor Węzyk — Osiecy zresztą znali go z widzenia i ze słyszenia — zaskuszony w dziale jakichś odkrywczych badań inedyznych, był to dziwak, stary kawaler i człowiek srodze zapracowany. Działka zastępowała mu rodzinę i życie osobiste. Cackał się z nią jak z kimś najukochańszym. Nie lubił pensjonatów ani sanatoriów, nie miał zresztą nigdy czasu na wyjazd wypoczynkowy, działka więc i to mu zastępowała.

Będąc częstym laureatem nagród państwowych i człowiekiem zamożnym, wkładał w nią duże środki. A będąc równocześnie człowiekiem systematycznym, co dzień, bez względu na nawal zajęć poświęcał pracy fizycznej albo wypoczynkowi na działce godzinę czasu. Nazywał o godziną odkażenia organizmu, nie odstępowal od tej zbawczej godziny pod żadnym pozorem, wynalazł ją sobie zawsze, bodaj o świcie, czy późno w noc. Profesora Węzyka ludzie podziwiali, ale nie nadto lubili, chociaż to był człowiek przynoszący najwyższej miary pożytek ogólny. Ale miał dziwaczny sposób świadczenia usług, nawet bezinteresownych. W domu, gdzie mieszkał, zawsze można go było wezwać po sąsiedzku do nagłego przypadku choroby, choć wbrew nazwisku był nieziemnie otyły i ciężko mu było chodzić po schodach. Lecz gdy chory skarżył się, doktor Węzyk odpowiadał z reguły: „A kto ma cierpieć, jak nie chory? Ja także cierpie i także jestem chory”. Tu zawiął nogawkę i pokazywał swoje w istocie bardzo zbzeknięte nogi. Pacjent natychmiast czuł się jak bez lekarza i mocniej zaczynał cierpieć.

Ale Łohojski zawsze łobrze mógł o doktorze Węzyku, jak zresztą i o każdym. „Dziwak? Ma prawo. Ma prawo” — stwierdzał tylko. Trzy lata temu, kiedy tak bardzo szukał działki, Strojny zainteresował tym doktora Węzyka. „Jak panu to do szczęścia potrzebne — rzekł wtedy profesor Łohojskiemu — to sięj pan i sadź na mojej działce. Tylko nie koło altanki, nie przy ścieżkach, nie pod drzewami owocowymi i nie od strony drogi.

— Racjonalne — przyznawał mówiąc o tym Łohojski. — No, ja naturalnie — żadnej pretensji. Na działce profesora niczego tknąć nie należy. Działka taka, że i mucha nie siądzie. Barbarzyńcą by trzeba być...

Wandzie przypomniało się, że słychiwała już o tej legendarnej działce. Głównie od Leopoldyny Kędziorek i od Stysów. Leopoldyna nie cierpiała profesorskiej działki, choć czarowało ją jej bogactwo.

— Już co ten profesor ma na tej działce owoców, to tam się gałęzie urywają pod temi gruchami, temi jabłami. Ja bym tylko chciała wiedzieć, co on, taki stary kawaler, z temi owocami robi. Jak to takiemu, co ma i tak wszystkiego, jeszcze się rodzi a rodzi.

— Podobno studentom posyła, przyjacielom — tłumaczyła Wanda z anielską cierpliwością. — Na pewno żadnego zysku z tego nie ma. To bardzo zasłużony człowiek, bardzo uczony. Za swoją pracę powinienby mieć piękną wilę z dużym

ogrodem. A jemu dosyć, że ma jak wszyscy, małą działkę.

— Za swoją pracę? — Leopoldyna dziwiła się i milkła. Lecz prychwili wyszczała znowu: — Ale co on z temi jabłkami robi, to ja naprawdę nie wiem. Taki uczony i żeby nawet sprzedać takiego owocu nie potrafił...

Dozorca Stys natomiast mówił o działce profesora z uzusowaniem: — Ta działka majątek warta. Żeby wszyscy takie mieli, to by Warszawa była bogata.

Napatrzyli się, pogadali, Wanda zaczęła się zęgać.

— Zaraz! — krzyknęła raptiem zaglądając do torby. — Na śmierć zapominałam! Przecież mam dla pana pieniądze za te pana... jagody. I jeszcze te ziarnka, proszę. I co za głowa — przecież nie powiedziałam, że wszystkie pana „okazy” były słodkie. Jedliśmy bez cukru.

— No, tak. Duża insalacja. Duża insalacja w tym roku. A co do pieniędzy, nie pilnego. Kiedykolwiek, nie teraz... — odmachwał się obu rękami.

— Panie Klemensie, niech pan mnie nie nudzi. Mogę znieść wszystko, prócz tego, żeby mnie ktoś nudził. A z tego melona, co był w środku zielony, to kilkanaście ziarenek wziął jeden z naszych znajomych. Też obłąkany działkowicz.

— Ależ, proszę bardzo. Czemu tak mało? Jaż właśnie dla działkowców. Nawet poza Warszawę wysyłam. Niech pani powie adres. Ja jemu wszystkie odmiany prześlę. A może jeszcze komu?

W październiku — a była to trzecia jesień gospodarki Łohojkiego na działce Mielczarkowej — rozeszła się wiadomość, że odbędzie się wystawa produktów działkowych całej Warszawy. Łohojski był tym ogromnie zaprzętny; i to w jakiś sposób właściwy sposób, częściej bowiem niż na własnej widywano go na innych działkach. W kamienicy stowarzyszył się tymi czasami bardzo silnie z „kombajnem” Gwoździkiem, którego „złote ręce” miały mu pomóc w sporządzeniu owego instrumentu do wyciskania doniczek ziemnych. W tym stanie rzeczy Łohojski prawie nie zwrócił uwagi na inną wiadomość, która się również „rozeszła” i którą mieszańcy kamienicy bardzo się przejmowali. Zaczęło mianowicie mówić, że „trójki społeczne” mają znów chodzić po mieszkaniach i kontrolować stopień ich „zageszczenia”. Więc dociekano, komu jaki pokój odbiora lub komu kogoś do pokoju wsadza. Pesymistycznie prorokowali złowrogo, że teraz już na pewno wysiedlą z Warszawy każdego, kto nie ma regularnego zajęcia i że kogo jak kogo, ale Łohojskiego na pewno wyrzucą z jego izby.

W komitecie blokowym niejedną dywał się w głowę. Ten Łohojski! Właściwie jakaś taka pozycja na terenie bloku, że ani rusz nie wiadomo, jak ją traktować. Człowiek nie pracujący. Prawda, że robi na tej działce i nie tylko na owej, niby swojej. Odkał ją użytkuje, wiele pomaga innym działkowcom, bo nie wiadomo skąd, lecz zna się na ogrodnictwie. A i tak, nigdy go się nie widzi, żeby próżnował. Tylko że tego wszystkiego nie można jakoś urzędowo „zaszeregować”. I z tą metryką! Powiada, że mu dokument sądowy stwierdzający jego urodzenie zagubili. I tak dafad żyje za tymczasowym zaświadczeniem. Właściwie, oficjalnie, jakby człowiek nieistniejący.

Jednak nędzne mieszkanie Łohojskiego okazywało się jego sprzymierzeńcem nawet wobec urzędów kwatrukowych. Wysiedlił — nie trudno. Ale izba pusta stać nie może. A kogoś do niej wpakować? Dać jakiemu pracującemu takie mieszkanie? Toż nie uchodzi. Do czasu trzeba cierpieć, że wielu Warszawiaków jeszcze się męczy w złych mieszkaniach. Ale ze złego można przenieść tylko do lepszego, do nowego bloku. Nie do takiej nory przecie. Wilgotna, przecieka, ciemna i jeszcze przy ubikacji odwórowej. Należałoby w ogóle zlikwidować ten podły kompromitujący budynek. Lecz i na to trzeba jeszcze kęsów czasu poczekać. Zuplanowane, owszem, ale na inny rok. Tymczasem oprócz tego dziwaka żyje tam jeszcze rodzina poczciarza w dwóch izbach nienajgorszych, lepszych niż Łohojzczyna kłitka.

Z innych względów kłopotalną sprawą Łohojskiego najmłodszy w komitecie blokowym, dwudziesto-pięcioletni robotnik z „Ursusa”, człowiek czujnego usposobienia. Wprowadził się do kamienicy dopiero po wojnie. Mało bywał w domu i mało znał Klemensa Łohojskiego.

— Kto on właściwie jest? — pytał. — Może jakiś szkodnik? Element obcy klasowy?

(Dokończenie ze str. 5)

jak ten ptak. Ja tam, co tam, głowę za niego daję.

Już w okresie trwania wystawy działkowej, gdy nieswiadom tych rozważań i nie istniejący oficjalnie Klemens Lohojski wracał przed zmierzchem z pola, rajucające na lawecze pod stróżówką żeńskie towarzysztwo zaczęło go z gniewną czułością.

— Panie Klemens — krzyknęła Stysiowa patrząc na niego ze zniecierliwionym wyczekiwaniem. — Co pan o sobie nie pomyśli? Po mieszkaniach będą chodzić. I co pan zrobi? Ładne czasy — doniosła pod znacznym szerszym adresem — żeby spokojnemu człowiekowi ciągle po piętach deptali, żyć mu nie dają.

Do upamiętnień przyłączyła się najmniejsza żona pocziara, Romcia Zachwatkowa, bardzo ładna, bardzo brzemenna i bardzo szczerbata kobiecina; miała działkę w pobliżu Lohojkiego i to ich bardziej zbliżyło niż długoletnie sąsiedztwo w starej rudery.

— Musi pan coś wykryć — nalegała — żeby dokumenty wszystkie mieć i legitymację z miejsca pracy. Czy to z pana dziecko? Nie wie pan, że teraz tak żyć nie wolno?

Lohojski miał widać coś przyjemnego na myśl, bo uśmiechnął się swym chłopięcym trwóźnie-potnym uśmiechem i odwrócił się.

— A pani Romcia jakie miała dokumenty, jak trzeba było do karty meldunkowej składać? Pani miała tylko swoją fotografię. Ja byłem przy tym, widziałem.

— To jest prawda — zaśmiała się Romcia. — Mnie wszystkie dokumenty w okupację przepadły.

— I żeby pani przepadły. Jak to może być, żeby taka młoda kobieta i taka ładna kobieta bez zębów chodziła? — przekomarzał się Lohojski.

— A żeby pan wiedział, żem żeby w obozie postradała.

— Prze-praszam! Jak ja nie mam zębów... w porządku! Ja nie mam ubezpieczalni. A pani masz tę swoją ulubioną ubezpieczalnię, to czemu pani nie wstawisz?

— Co racja, to racja — przyznała Stysiowa, lecz Leopoldyna Kędziorek innego była zdania.

— W ubezpieczalni! Oni tam wstawia co dobrego! — zgryźnęła. — A to, z przeproszeniem, nieprawda — obruszył się Lohojski. — Wcale dobre protezy. Mój znajomy...

— O, Matko — przerwała Romcia — tam z osiem miesięcy albo więcej trzeba na tę protezę czekać. Ja nie mam na to nerwów, nie mam cierpliwości na takie czekanie.

— To już przepraszam! Nie rozumiem! — zaperzył się Lohojski. — Dziewięć lat miała pani cierpliwie szczerbata chodzić, a osiem miesięcy nie ma pani cierpliwości poczekać? Nie rozumiem!

— Dziewięć lat mogłam wytrzymać, bom nie myślała o tych zębach. Ale jak już się zaczęło, to człowiek chciałby jak najprędzej mieć to dobre. Już denerwuje się i już nie może czekać.

— A właśnie! A to tak jest ze wszystkim! Ze wszystkim! — Lohojski energicznie potrząsnął głową i ruszył ku swoim drzwiom. Zanim doszedł, wynikło zamieszanie. W bramie pojawił się milicjant i pytał, gdzie mieszka Klemens Lohojski.

— Masz tobie. Milicja po niego przysłała — oznajmiła Leopoldyna już w mieszkaniu Osieckich. — Głupi dziadzio, nie zadba o to, żeby mieć wszystko jak u ludzi. Żeby go nie tyrali!

Milicjant zastukał do Lohojskiego w sekundę po jego wejściu do izby. Styś wyszedł przed stróżówkę i oboje z żoną patrzyli urażeni. Jak milicja przychodziła z czymś do lokatorów, to się zawsze najpierw do nich zgłaszała. Widać jakiś nowy, nie zna zwyczajów, czy co?

Lohojski zobaczywszy umundurowaną postać, nie tyle spłoszył się, ile rozgniewał. Na myśl, że teraz w czasie wystawy mogą go o coś ciągnąć, przeszkadzać mu, zajmować czas głupstwami, poczuł skłonność do awantury.

CZYTELNIK

Wznovienia

Helena Boguszevska
CZARNA KURA
Powieść
Wydanie drugie
Str. 220 zł 8.40

Polu Gojalczyński
DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPK
Wydanie piąte
Str. 240 zł 6.50

Tadeusz Konwicki
PRZY BUDOWIE
Wydanie piąte
Str. 92 zł 2.50

Józef Ignacy Kraszewski
JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY
Wydanie drugie
Str. 24 zł 1.—

Leon Kruczkowski
PAWIE PIERE
Wydanie siódme
Str. 220 zł 4.80

Zofia Natkowska
GRANICA
Wydanie dwunaste
Str. 328. Brosz. zł 10.—
Opr. w pit. zł 13.—

Antoni Słonimski
POEZJE
Wydanie drugie
Str. 380. Opr. w pit. zł 20.—

„CZYTELNIK“ k 2235-1

— Co znów takiego? — burknął w odpowiedzi na powitanie.

Oficerek milicji, drobny, szczupły, czarniawy, rozejrział się po izbie i powiedział:

— Ja do pana z prośbą. Idzie o działki. Ja też jestem działkowcem. Nie w tej dzielnicy. Ale i na tym waszym polu ma jeden od nas — tu wymienił nazwisko. — Pan go zdaje się zna.

— Ou-wszem, ou-wszem. Dobry działkowiec — Lohojski cokolwiek się rozpogodził i podsunął krzeselko. — Proszę siadać.

— Więc widzi pan. My mamy sporo działkowców i z naszego komisariatu, i z innych. A tu na polu pan ma opinię, że pan różne pozytywne ulepszenia wprowadza. — Przesada. Duża przesada. — Ja to robię nie sam. Cały zespół pracuje... — Lohojski energicznie potrząsnął głową.

— A jednak mówią. I zresztą polecił nam pana w zarządzie. Jednym słowem chcieliśmy pana prosić o pogadankę dla naszych działkowców. O tych doniczkach ziemnych. Działkowcy jeszcze to mało stosują albo wcale. Zwrócono uwagę, rozumie pan; przypisuje się teraz pewne znaczenie, nawet duże znaczenie gospodarce działkowej...

Milicjant wyszedł od Lohojskiego z ziarnkami specjalnych odmian dyni, kawona, melona i słonecznika.

Wanda Osiecka wylekła się usłyszawszy, że Lohojskiego nagabuje milicja. To ją zmartwiło nie tylko ze względu na Lohojskiego, ale tak w ogóle. A dużo się w życiu naciępiła, i nie lubiła się martwić. W dodatku przypomniało jej się, że solennie obiecała Lohojskiemu być na tej działkowej wystawie i zabrakło jej czasu. Teraz też go zabrakło na półście zaraz do „pana Klemensa“. Odwiedziła go dopiero w parę dni potem i zaczęła od części półścia na wystawę; dowiedziła się, że wystawę działkową już zamknięto, więc zapytała, co było z tą milicją. Kiedy Lohojski opowiedział, jaki cel miała wizyta milicjanta, odetchnęła i wybuchnęła śmiechem.

— Nie-e, wie pan, świetny kawał! Cała kamienica gada, że pana wyrzucą z Warszawy, że pana chcą aresztować, a tu milicja prosi pana o pogadankę, o czym? O tej pana... — Doniczkarce. Mówiąc nawiasem, nie tylko o doniczkarce. Ale przepraszam! To nie zawsze tak się wszystko dobrze kończy.

— Pewno, że nie zawsze...

I chwilę rozmawiali o błędach, przeczeniach, niedociągnięciach, czasem bardzo bolesnych, o magicznym słówku „troska o człowieka“, tak często zawodzącym w konkretnych wypadkach życia. Powzdychała, a Wanda zakończyła jak zawsze ze śmiechem:

— No, cóż... mówi się trudno!

Lecz Lohojski rzekł na to poważnie:

— Według mnie tacy ludzie jak pani powinni walczyć. O każdą rzecz, co nie tak idzie, jak powinna. Gdyby pani... — raptem urwał i zapytał nerwowo: — Która godzina?

Powiadomiony o czasie, zerwał się, poszukiwał swego czapczyka (dzień był jadowicie zimny), naciągnął je na uszy i huknął:

— Przepraszam bardzo! Muszę coś załatwić w zarządzie. Za pół godziny budkę na działkach zamkną.

7

Zostawszy sam Lohojski zatarł ręce, pokreślił się w kółko, wyszedł na ulicę, zatrzymał się na środku jezdni, uskokzył spod ciężarówki, z której rozeległ się za nim okrzyk: — „co pana tak pilno na tamten świat, panie starszy!“ i jeszcze coś, czego już nie zrozumiał. Stał na brzegu pola, rozejrział się, potrząsnął energicznie głową i zdecydowanym krokiem ruszył prosto ku budce zarządu, pod którą tłoczyła się gromadka działkowców.

Nazajutrz gruchnęło po kamienicy, że Klemens Lohojski dostał nagrodę. Przychylny go w bramie, Wanda Osiecka wypyttywała przyjemnie zaskoczona:

— Nie-e... Naprawdę? Jaka nagrodę pan dostał?

— A' przyznali. Peode.

— Za działkę?

— Acha! — huknął po swojemu Lohojski, a zwykłym już głosem dokończył: — Nic takiego. Złożyło się to kółko doświadczalne.

— Jakto „złożyło się“? Pan złożył?

— No, niby ja. I tam jeszcze obmyśliło się taki przyrząd...

— „Obmyśliło się“. Pan obmyślił?

— No, niby ja. Też nie wielkiego. Ja już pani mówiłem. Doniczki ziemne... W wielkich zakładach robia to mechanicznie, po świecie — nawet systemem taśmowym. Ale mój model dostosowałem do potrzeb działkowców. Prosty i tani. Każdy może go nabyć. Przyprawie sto doniczek na godzinę wyrubi. Na naszym etapie budowy socjalizmu — Lohojski zaśmiał się swym psotno - trwóznym uśmiechem — dla działek to wystarczy. Zastosowałem też trochę inną, oświeceniową mieszankę. Wynalazek nie nowy. I też polski. Zamiast nawozu — torf z glina.

Podeszła Stysiowa. Na jej twarzy malowały się bardzo mieszane uczucia.

— Nasza działka najładniejsza, no, ja tam o nagrodę nie stoję. A że takiemu jak pan dali, to dobrze zrobili. Żeby pan tylko tych pieniędzy na co głupiego nie stracił — ostrzegła. — Jakiego łacha porządne niechby pan sobie kupił.

Romcia Zachwatkowa mijając ich przystanąła i też się wdała w rozmowę:

— Żeby niech pan sobie naprawi — poradziła śmiejąc się swym ładnymi choć szczerbatymi ustami. — Tylko gdzie tam panu myśleć o takiej rzeczy. Prywatnie, to i nagroda pewno by nie starczyła. Żeby pan miał chociaż tę Ubezpieczalnię, jak ją pan tak już zachwala.

— Będę miał — oznajmił nieoczekiwanie Lohojski. — Otrzymałem zajęcie.

— Nie-e? Rzeczywiście? — zainteresowała się Wanda Osiecka.

Okazało się, że istotnie, Lohojskiego zaangażował nie mniej niż więcej, tylko uczony profesor, doktor Weżyk. Pisał ogromne dzieło medyczne i potrzebował „inteligentnej maszynistki“. Nadto potrzebował kogoś do załatwiania mnóstwa spraw na mieście. Jego dotychczasowy tego rodzaju pracownik, wykształcony się z pomocą profesora na pielęgniarza, przeszedł do służby zdrowia.

— Na starość będę maszynistką — zaśmiała się Lohojski, a był to, inny, jak zawsze, pogodny, szeroki śmiech człowieka, któremu się powiodło. — Cóż, u znakomitego uczonoego... Nie uwłacza. Nie uwłacza. Tak zwane pół etatu. Przewidziane. Profesor zgłoszenie do ubezpieczalni już podpisał. A pani — zwrócił się do Wandy — śmiała się z mojej maszyny. Ot, i przysłała się.

— A z takiej męskiej maszynistki to się nie warto śmiać! Ach, jak ja pana lubię! — wesołe oczy Wandy miały wyraz szczerzego uszczęśliwienia. — I wie pan, ja zawsze myślę, że trzeba się na nie nie oglądać... niech się ludzie śmieją, niech straszą. Na nie się nie oglądać — powtórzyła — tylko robić swoje, pracować i pracować. Zawsze w końcu wyjdzie stąd coś dobrego.

Lohojski odprowadził Wandę do jej schodów i wrócił ku stróżówce, dokąd za chwilę przyleciał i Jan Strojny, uradowany, jakby sam udzielił komuś odznaczenia, albo sam je otrzymał.

— No i proszę! — wołał. — Panie tam, co tam! Jak się na pana poznali! Ja zawsze wiedziałem, że z pana nie było co. Pan innego ducha tchnął w ludzi. Teraz Bóg wie nie co sobie po tych działkach obiecują.

Rozmowa się zageściła, bo nadziedził jeszcze Gwozdek.

— Wimszuję! — mówił z zadyszką. — Dużo?

— Oj dużo. Niby... największa z tych tam... przyznanych.

— Jak Boga kocham! nie od pana nie wezmę z tego „modela“, com go panu zająstrował. Ale oblać pan musi! — Gwozdek mimo zadyszki lubił okazje. — Masz pan już forsę na rękę? Nie? To ja za-

Nowość

Książka o włoskim ruchu oporu

GIOVANNI PESCE

Żołnierze bez mundurów

Tłumaczył z języka włoskiego Z. Zborsztyn

Str. 170 zł 6.70

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ K. 3388-1

Nowość

WIKTOR GROSZ

GDY RODZIŁO SIĘ WOJSKO POLSKIE

Zbiór artykułów i notatek publicystycznych z lat 1943—54

Przedmowa Wandy Wasilewskiej

Str. 164 zł 6.20

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ K. 3391-1

KAZIMIERA IŁAKOWICZÓWNA

NA MRÓZ

Za późno

Lodowy los

Już się lata nie odchucha...

Za późno!

Leży pod liściem łopuchu bez ruchu.

Szron — na rzesach pod powieką...

Na próżno.

Łzy?! Tak. Ale już nie cieką.

Za późno.

Liście ma od płachu zwiędłe za trumnę.

Przy nim nieżywym usiędę i umrę.

Już się lata nie odchucha...

Na próżno!...

praszam! — Panie dozorca, Jaslu, chodźcie do mnie na maluskiego. Ma się tam w domu takie rzeczy.

Dozorca Bazyli Styś nadciągnął właśnie z głębi podwórza; uroczystość podał Klemensowi Lohojskiemu rękę i tocząc przekrwionymi białkami swych lazurowych oczu, rzekł nie bez majestatu:

— No, ma pan szczęście. Ochrańało się też pana, bronilo. Nie chwałąc się. Miało się serce dla pana.

Lohojskiemu bardzo rzadko zdarzało się pić wódkę, ale musiał przyznać, że to była okazja.

Poszli tedy ze śmiechem, a kobiety, zle jak zawsze, kiedy mężczyźni mają popić, zaczęły swarliwie omawiać wydarzenie.

— A jak to wszyscy krakali, że go wysiedlę z Warszawy, że dokumentów nie ma, roboty nie może dostać. Jak okrzyk jest pocziwy, to i tak w końcu się wyda, że pocziwy — zauważyła Romcia Zachwatkowa, kontenta, że jej maż śpi właśnie przed nocną służbą i nie poszedł do Gwozdka.

— Kto krakał? — obruszyła się Wiktoria Stysiowa. — Pani Romcia ma sama wytłukać, że to, że tamto... że dokumenty...

— Co dokumenty? jakie dokumenty? Co mnie dokumenty obchodzą. Czy to ja jestem władza? Tak się gadało, dla śmiechu. Pożartować nie można?

— Albo i Poldzia — ciągnęła nieublaganie Stysiowa, czegoś zaczepnie usposobiona. — Mało to wygadadywała na Lohojkiego? A to stary wariat, a to głupi...

— Ja! Ja! — zawrzała Leopoldyna Kędziorek. — Ja to już zawsze wszystkiemu jestem winna. Jakby wojna była, to tyż ja bym była winna. Komu ja co gadałam? Ty sama, Wiktoru, stana cholero, ciągle na niego warłaś.

— Czego się czupurysz? Warłam, czy nie warłam, ale jeść mu nosiłam. A po drugie, jeszcze na dwoje babka wrożyła. — I coś nagle obróciło się w Stysiovej przeciwko Lohojskiemu. — Jeszcze nie wiadomo, jak z tą nagrodą będzie. Podobno mu ją wstrzymali. Na niego był donos, że nie na swojej działce robi, a to nie wolno. I że tam, gdzie te pieniądze dają, w tych Związkach to nie wiedzieli. Mnie tam wszystko jedno, ale na działkach tak mówili.

— Styszycie, ludzie? — Leopoldyna nie posiadała się z gniewu. — Żebyś, Wikta, pamiętała, że to ty na niego wygadujesz. Ja nie nie powiedziałam. I jeszcze będzie ludzom wyminała! Podżegaczka!

Rzuciwszy tę najwyższego stopnia obelgę, Leopoldyna wycofała się z podwórza, gdzie tymczasem zjawiała się żona Strojnego poszukująca męża. Nie obeszło się bez ponownej gadaniny o działce. Strojnowa, by nie mówić o swoim Jasiu, twierdziła, że Stysiomu należało się wyróżnienie, a choćby nawet i Zachwałkom. Wiktoria i Romcia na to, że im na tym nie zależy, ale kto, jak kto — Strojny winien był dostać nagrodę. Dzieciom ludzom więcej by się przysłało, może Lohojski co nakreślił, żeby mu przyznali? Ta Osiecka z radia i ten jej maż, to mają różne znajomości, może to ich robotą. A co Lohojskiemu po tej nagrodzie, sam jak ten palec i byle czym się obywał...

Lohojski zagrożony, odrzucony, jak gdyby pokrzywdzony, czy nieudany budził w tych prostych sercach szorstkie ale nieklamane współczucie; nowy, nieoczekiwany Lohojski odznaczony, czegoś niepokoił i drażnił. Uległa temu i Leopoldyna, kiedy nazajutrz, mimo poważnienia się ze Stysiową przysłała na „pogaduszkę“ do stróżówki Wanda Osiecka widząc ją potem chmurną i nadąsaną spytała, o co taki żyl humor i czy Poldzia nie cieszy się, że Lohojski dostał nagrodę. Leopoldyna tylko na to czekała.

— Ja już nie chcę słyszeć o tym zafajdanym Lohojskim — rozkrzyczała się. — Nagroda i nagroda! Wielkie co! Widać takim teraz dają, co łażą z kąta w kąt i nawet na porządne portki nie mają. J-cie życie robię i żadnej nagrody nie dostałam. I dobrze! I bardzo dobrze!

— To jeszcze nic straconego — uśmiechnęła się Wanda.

— Nic straconego? — Leopoldyna nie zrozumiała. — Może i straci,

Los siedzi za mną ulicą,

zamykał okiennice.

Gdzie było serce wycięte pamięta!

zagłada, badał szyby,

lodowy wzorek za wzorkiem,

i — bez pochyby —

celnie, śmiertelnie,

wycięte serce ręką lodową zatykał

jak korkiem.

...Stary mantyka!

Lodowy elegant!

Fireyk!

...Nie wpuszczać go!... Niech w mróz pod oknami

biega

i skwirczy.

— Dlaczego trzy? — Wanda już była rozśmieszona.

— Bo dwa pierwsze pozostawiały do życzenia. Sam konstruowałem. Nieakuratne. Ten — z Gwozdkiem. Dobrze wykonany. Ale też już nieaktualny.

Lohojski sięgnął po jakiś arkusz z rysunkiem.

— Ten będzie lepszy — pokazał. — Nie potrzeba nakładać. Ani tloka. Za otwarciem sam nabiera ziemię. Sam wyklada doniczkę. Widać pani tu otwór z boku. Jakby garściami nabiera. Można powiedzieć — miniaturowa odmiana korparki. Ręcznej.

— Pan jeszcze jakim instruktorrem zostanie.

— Może by się i było — Lohojski się zamyślił. — Ale to trzeba przejść jeszcze kursy. I dokształcać nie ideologiczne. Bez tego a nuż — uśmiech bardzo przekorny — nie odróżniłbym rzodkiewki od melona. — Nie lekceważę. Nie lekceważę — zastrzegł się od razu. — Tylko... Droga już przede mną za krótka — spoważniał. — Dawniej, kiedy się myślało o przyszłości, to się widziało przed sobą różne drogi życia. Różne możliwości. Nawet ja. Teraz to się myśli o różnych rodzajach śmierci. Jaka też przyjdzie. Śmierć bardzo jest pomyslowa.

— Nie cierpię takiego gadania. To trywialne. Śmierć może przyjść na każdego w każdziutkiej chwili życia, młodej czy starej. A cóż stąd? Mimo to próbujemy żyć. Aż do końca. Więc proszę nie umierać, ładnie sobie wypocząć, a potem ręce wypucować, bo co to za profesorska maszynistka z takimi palucnakami?

— Słus-usznie! Słus-usznie! — zakrzyknął z energią Lohojski. — Po wyjściu Osieckiej Lohojski zasłonił arkuszami tektury okno i podrzucił do piecyka parę kawałków drewna i węgla. Był już późny wieczór i mocno pociągało jesiennym chłodem. Minęła chwila na przypatrywaniu się objaśnianemu Wandzie rysunkowi. Potem Lohojski sięgnął do katalogu ozdobionego wizerunkami wspaniałych warzyw i owoców, odrzucił go i wyciągnął się jak długi na swym tapczanie. Przysnął oczy, twarz miał wypogodzoną i odmłodniałą, lecz zdumiana. Myśli snuły się pogmatwane, wesłe i smutne, trwózne i meżne, jak to bywa z człowiekiem w ważnych godzinach życia. A w końcu wszystkie znikły i dwa obrazy jęły się uporczywie pojawiać pod powieką. Kobieta, z którą rozłąka okazała się pożegnaniem na wieki, jej głos gesty, słodko topniasty i cokolwiek chrząszczący jak gryłowa zękolada, którą się kiedyś jadło i lubiło, jej modry wzrok, jej uśmiech, pokazujący wesołe białe zęby, jej nogi wysokie i mała stopka ślicznie wspięta. I zaraz potem — kędzierzawa, barwna, wonna przestrzeń ogródków działkowych czy jakichś innych; i on, chodzący po tej bujnej, kolorami przetkanej zieleni, jakaś ogromna wystawa, dużo ludzi, wszyscy na niego pokazują, czegoś od niego chcą, tak się do niego garną; a on odpowiada im coś bez sensu, i znów ta kobieta, i znów kędzierzawa zieleność, i te dwa obrazy przeplatają się z sobą, jakby oba były jednakowej miary, jednakowej wielkiej szczęśliwości przeżyciami jego ziemskiej wędrówki. I ciągle te słowa bez sensu, mówione tłumom ludzi, tej kobiecie, barwnym ogrodem, czy też sobie samemu. Płaczą się, trudno je polapać, aż wreszcie układają się w żalosne pytanie:

— Cemu tamto upojenie młodości nie przetrwało i nie może się dziś połączyć z tą cichą radością późnych lat w zupełne szczęście życia?

Głośno powiedział tylko: — Cemu? — i dwie wielkie łzy wytoczyły się spod jego zamkniętych powiek, a jedna z nich zamigotała i zalsniła od światła lampy. Tu Lohojski otrząsnął, usiadł, pomyślał, że trzeba się rozziewać i rzekł półgłosem jak człowiek wywczazony do rozmawiania ze sobą:

— To ja ty-le lat siedziałem, siedziałem... ale dopiero teraz... dośzedłem... bez szczęścia już... ale dośzedłem... i cokolwiek zdziwiony, wyszeptał: — do ojczyzny.

Maria Dąbrowska

Ze zbiorowego tomu opowiadań na X-lecie Polskiej Ludowej przegotowywanego przez S. W. „Czytelnik“.

Szpilki

WIDOK

DZIS W NUMERZE:

TEKST
Antoni Marianowicz
RYSUNKI
Szymon Kobylinski

LEON PASTERNAK W SPRAWIE KULTURY

Ach, wy zbiry, durne chamy,
Znamy was, bękart, znamy!
Wiemy, co lotr każdy knuje,
Dranie i złamane szujel!

Wy łobuzy, wy bydlaki,
Świński miocie ładajaki,
Wasz waszym brudnym pyskiem!
Paszol won na gnojowisko!

Wy oprychy! Wy rabusiel!
Was za mordę weźmie tu sie!
Won gówniarze, kundle, gbury:
Nauczmy was kultury!

Tam

Tak on zatopił kły w ciało sąsiada.
Tam, kiedy czaszka do barków
przypada.
Nie z takim gniewem Tydeł, zemsta
ślepy
Menalipowej głowy gryził czerepy
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
.....
Skonczył i, dziko wywróciwszy oczy
Na nowo usta krwawą czaszką
broczy
I, jak ples, zębem zgrzytając, rwie
kości!

Istotnie, kraje kapitalistyczne gry-
zą się, tkwiąc w bezruchu. Autor
powyższej boskiej wprost komedii,
włoski ksiądz-patriota rodem z Flo-
rencji, zdaje sobie w pełni sprawę
ze skutków tzw. pomocy amerykań-
skiej. Łasciate ogni Gasperanza voi
ch'entrati!

Ich zastójowi przeciwstawiamy
nasz ruch. Oczywiście nie PP
„Ruch”, w którym dopiero panuje
zastój. Zapuszczy się niedawno w
teren na Nowy Świat, nie mogłem
dostać tam nowego „Świata”. Coś
wy na to, Obywatelu Ministrze Poczty
i Telegrafów?
Pełno u nas prawdziwego ruchu,
młodości i entuzjazmu. Aby chwy-
tać życie na gorącym uczynku, uda-
je się często na ulicę Foksal. Słone-
czko przyświeca, słowiki szumią,
strumyczki ćwierkają. Jest jakoś
radośnie i jasno. Młodzie obejmują
się i nie tylko obejmują. A niechże
jak najczęściej, wbrew domorosłym
katonkom, zachodzą takie fakty, i
nie tylko fakty. Niechaj krzywa uro-
dzień pnie się prosto w górę! I nie-
chaj będzie wesoło!
Nie widzę żadnego powodu, dro-
dzy Czytelnicy, abyście nie mieli pę-
kać ze śmiechu

Jan Szela.

Żołef Drukowski
ŻYCZENIA
ILUSTR. ENF-54

Wjeda folks-terror z Bonn
I jam-nikt Tito głosami zerwanym.
Oto psi, psi ze wszystkich stron:
Spaniol Franco z wielkim Brytanem.

A pan tej psia mi stoka: „Ja wiem...”
(Kryzyś się w gardło wgrzyził mu)
„Ta cała stora jest pod zdechłym
łachuchowym imperializmem!”

Wjeda folks-terror z Bonn
I jam-nikt Tito głosami zerwanym.
Oto psi, psi ze wszystkich stron:
Spaniol Franco z wielkim Brytanem.

Wjeda folks-terror z Bonn
I jam-nikt Tito głosami zerwanym.
Oto psi, psi ze wszystkich stron:
Spaniol Franco z wielkim Brytanem.

Feliks Pajdek, 307 procent normy.
Wiktor Kłys szczęśliwa,
Mówia: „Pchniemy kraj na nowy
tor my.
Już to Pszczynscy nie nawarzą
piwa!”

Ceremonia trwa długo należycie,
Pary stoją w długim szeregu.
Szczęścia na długie życie,
Wszystkiego najdłuższego.

Ilustr. Eryk Lipiński



FRANCO-histeria

rys. Jerzy Zaruba

Stefania Głodzieniska
DRAPAKOWA
Ilustr. Szymon Kobylinski

Spotkałam wczoraj Drapakową.
Miała na sobie uroczyste wdzianko a la
kaftanik bezpieczeństwa, trumienne
pantofelki, z lekką wybrakowaną
koszyk do śmieci oraz emaliowaną
spławiczkę. Drapakowa szepnęła mi
w sekrecie, że w związku z oziębie-
niem się stosunków między Gryp-
sem a Hopsówną, Gamajdzianka wy-
raziła się w rozmowie z Pimpaczyn-
skim, iż dalsze tolerowanie Jampa-
kiewiczowej na stanowisku zastęp-
czyni Cwałnosy nie jest do pomy-
ślenia, zwłaszcza że Papciak zdążył
już popsuć opinię Rzepakowej, o-
skarżając ją o to, że ma bliźniak
z Szepiecińskim i Trymgielem, któ-
rzy tymczasem już definitywnie po-
rzucili mgr Koperczakównę. Odpo-
wiedziałam Drapakowej, że przesa-
dza i to grubo. Maciupski miał gor-
sze przeżycia z Budożanką, a jed-
nak Słodyszkówna obszczała w
końcu Grypasiewiczca, co zachwiało
pozycją Pipskiego i doprowadziło do
jego ostatecznego zerwania z Kot-
kówną oraz do zbliżenia z plegowa-
tą Flisulanką, dotychczasową pry-
watną sekretarką dyr. Hopszosa.
Drapakowa dodała półgosem, że
główną winę ponosi tutaj ta Gro-

dzieniska, która już zupełnie w pę-
kę goni, a ubiera się w starą na-
rzutę z higienicznego tapczana...
Zrozumiałam. Drapakowa uważa-
ła mnie najwyraźniej za Kotpikie-
wiczową!

— Ależ pani Drapakowa — zaczę-
łam, na co moja rozmówczyni zro-
biła wielkie, nieco kaprawe oczy.
Widocznie Drapakowa nie była wca-
le Drapakową, lecz Chociupkówną!
Mniejsza zresztą o szczegóły. I tak
bardzo przyjemnie nam się gawo-
rzyło.



ODPOWIADAMY na listy

Pragnąc zacieśnić kontakt z czytelnikami, Redakcja „Szpilki” zwróciła się do wybitnych satyryków — swoich współpracowników — z prośbą, by na łamach pisma odpowiadali na listy, nadchodzące do Redakcji.

Nacz. Czytelnik Ob. Józefat Pyza skarży się, że został przez biurokratów wprowadzony w błąd w sprawie ofrankowania listu krajowego. Jedni odpowiadali mu, że należy nalepić znaczki za 60 groszy, inni że za 80 groszy.

Na list naszego Czytelnika odpowiada Krystyna Żywulska:
Ob. Józefat Pyza, wieś Wielkie Dolnowłazy, poczta Głaby
Za 80 groszy.

Krystyna Żywulska

Zachodnio-niemiecki kardynał Frings błogosławi odwetowych militanistów z Bonn
RES SACRA MASACRA
rys. Jan Lenica

Niepozagdkę w ustępach

Wszystkie trzy czytelnicy powieści Pedraka „Rzysko na ścierńniku” nadesłali nam egzemplarze książek, z których wynika, że pominięte zostały w niej 2 ustępy na str. 689 w III tomie.

Nie, proszę panów wydawców! W sprawie korekty dfe będziemy ustęp-owalili!

(1)

KRYTYKA POMOGŁA

W numerze 79 „Szpilki” pisali-
śmy o świetlicy wiejskiej w Bam-
boszowie (gmina Pruszczyc). W
świetlicy tej odbywały się obfite za-
krapiane libacje z udziałem sołtysa
oraz wielu dygnitarzy gminnych.

Notatka nasza odniosła skutek.
Świetlica w Bamboszowie została de-
finitywnie zamknięta.

*

W numerze 82 „Szpilki” pisali-
śmy o pralni chemicznej „Postęp”
w Ryplinie, która marnuje w praniu
guziki z powierzonych jej ubrań.

Obecnie dowiadujemy się z pisma
Centralnego Zarządu Pralni, Cerow-
ni i Odswieżalni, o odłamki guzik-
ków kierowane są na skutek naszej
interwencji do Centrali Odpadków,
gdzie podlegają przemiatowi.

Trzech omiologów

W sklepie ptaszniczym w Mławie
(ul. Wysoka) dzieją się dziwne rze-
czy. Pokarm dla ptaków kosztuje
tam 111 zł 25 gr. bowiem do garści
ziarenek za 25 gr. dodają obowią-
kowo kanarkę za 111 zł. Z kolei
kanarek kosztuje 798 zł bowiem ku-
pując go, nabyć musisz również pa-
pużki-nierozłączki za 687 zł. Cena
papuzek wynosi 1983 zł 70 gr. bo-
wiem sprzedaje się je wyjątkowo
wraz z kormoranem za 1296 zł 70
gr. Nabyć kormorana możliwe jest
jedynie wraz z pingwinem, nabyć
pingwina wraz z kondorem itd. itd.

Ciekawe, do jakiego gatunku pta-
szków należy kierownik sklepu w
Mławie. Czy nie jest on przypad-
kiem niebieskim ptaszkiem (uwz)

(wg korespon. W. Deltryckiego,
Lecznica w Mławie)

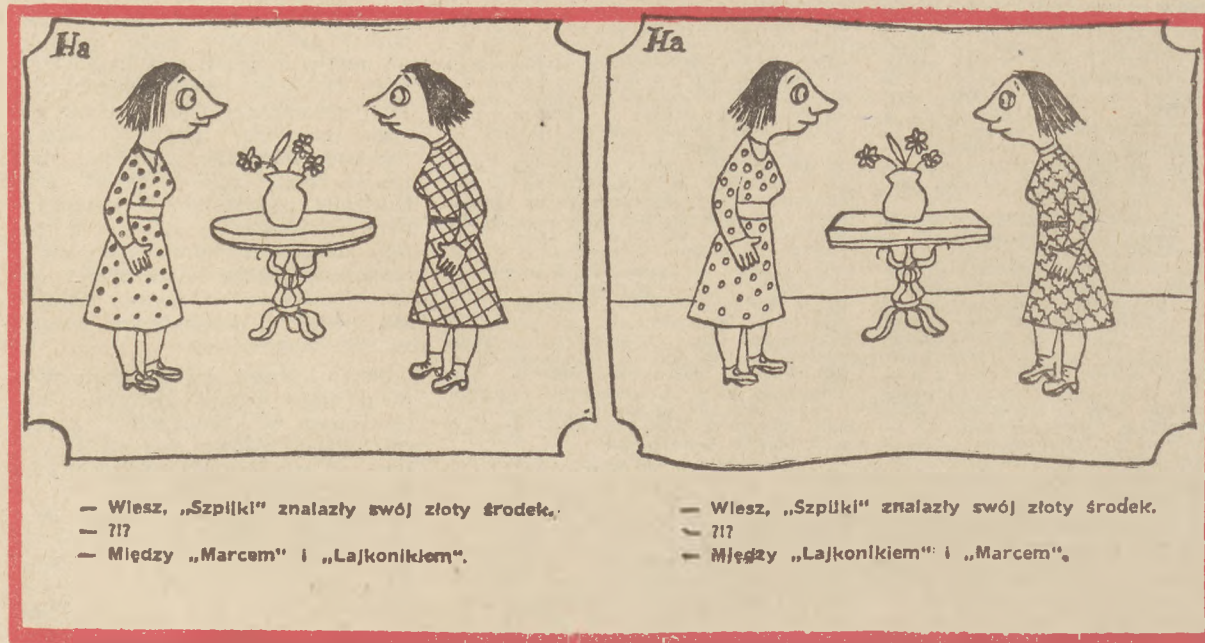
FRASZKI

SPOTKANIE

Jak donosi „Birna Saturday Times” z listopada
ub. r., w Dżibuti spotkał się ostatnio multimilioner
C. F. Krug, główny akcjonariusz „Essener Kohlen-
gesellschaft G. m. b. H.” z gen. A. D. Croockiem,
generalnym dyrektorem OCA (Organisation for Colo-
nisation and Administration) na Środkowy Wschód,
celem przeprowadzenia dłuższej rozmowy, której te-
matem były aktualne zagadnienia gospodarki wę-
glowej w południowej części basenu Morza Egejskiego.

NIHIL NOVI SUB SOLE:
KRUG CROOCKOWI OCA NIE WY-KOHL.

Tadeusz Polanowski



— Wiesz, „Szpilki” znalazły swój złoty środek.
— Tę?
— Między „Marcem” i „Lajkonikiem”.

— Wiesz, „Szpilki” znalazły swój złoty środek.
— Tę?
— Między „Lajkonikiem” i „Marcem”.